Nr. 16. Poznań, Niedziela 21go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

„Stronnictwo narodowe.“

Uwagi nasze z powodu pojawienia się na widowni stolicy wielkopolskiej fikcyjnego stronnictwa, wywieszającego błyszczący szyld „Narodowe“, skłoniły, „Dziennik Poznański“ do wystąpienia w obronie własnego dziecięcia. Argumentacya anemicznego organu „ładu i porządku“ opiera się na dwóch kolumnach:

1) „Przegląd Poznański“ sprzeniewierzył się zasadzie demokratycznej, wywodząc lekceważąco, że „stronnictwo narodowe“ reprezentowane było oficyalnie przez zecerów „Dziennika“.

2) O uprawnieniu stronnictwa nie decyduje odrębna organizacya z oficyalnym zarządem na czele, lecz przedewszystkiem skutek jaki osięgają występy tego stronnictwa. „Stronnictwo narodowe“ zwyciężyło „znaczną większością głosów“, a tem samem dowiodło, że liczyć może na silniejsze poparcie społeczeństwa niż obóz grupujący się naokoło „Przeglądu“.

Tak argumentuje „Dziennik Pozn.“, opierając według ulubionej metody polemikę swoją na fałszywej interpretacyi artykułów naszych i tendencyjnie zabarwionej charakterystyce położenia. Przedewszystkiem odpieramy stanowczo twierdzenie, że jakimkolwiek przedstawicielom uczciwej pracy — czy im na imię zecer, czy redaktor — ubliżać pragniemy. My z tego jedynie powodu podnieśliśmy fakt urzędowej reprezentacyi „stronnictwa narodowego“ przez drukarzy „Dziennika“, aby odsłonić autora tej nowej sztuczki politycznej, którym nie jest nikt inny tylko p. Dobrowolski. Jest to oryginalna inwencya Dziennikowego redaktora en chef i produkt do tego stopnia samoistny, że w chwili pojawienia się na sali listy „stronnictwa narodowego“ najbliżsi przyjaciele Dziennika, najfanatyczniejsi żołnierze „ładu i porządku“ pytali zdumieni, kto powołał do życia stronnictwo, kto je zorganizował, kto wymyślił firmę. Listę ułożył z polecenia p. Dobrowolskiego tajny tryumwirat, składający się z jednego mecenasa, naczelnego redaktora „Wielkopolanina“ i sprawozdawcy „Dziennika Poznańskiego“, używanego zwykle przez redaktora en chef do pewnych dyskretnych manipulacyi ze względu na rozczulające posłuszeństwo swoje i subordynacyą. Nazwiska kandydatów wydrukowano w oficynie „Dziennika“, a na świstkach papieru przylepił pan Dobrowolski lśniący tytuł: „Stronnictwo narodowe“. Tak powstało stronnictwo. Rolę oficyalnych reprezentantów rozdał pracodawca pan Dobrowolski między pracobiorców swoich t. j. zecerów z własnej drukarni i polecił im proklamować „narodowe“ kandydatury. W ten sposób osiągnięto również wrażenie pewnej „demokratyczności“: Lista wyszła rzekomo „z łona ludu“.

Lekceważenie „zecerów“, — z którego „Dziennik Poznański“ bije kapitał polityczny — jest nam zupełnie obcem; odsłoniliśmy jedynie istotę owego demokratyzmu i źródło fikcyjnego stronnictwa. Podobnie jak „Goniec Wielkopolski“ pod własną firmą ogłosił listę kandydatów, tak i lista „stronnictwa narodowego“ powinna nosić tytuł: „Lista Dziennika i Kuryera Pozn“, — a w przypisku komentarz: „Rządy zakulisowe spoczywają nadal w rękach p. Dobrowolskiego.“

Błędną jest rownież druga argumentacya oponenta naszego, bo opiera się w pierwszym rzędzie na dwóch fałszywych informacyach. Mija się z prawdą „Dziennik Poz.“, wywodząc, że stronnicy jego zwyciężyli znaczną większością głosów, bo różnice były do tego stopnia minimalne, że ławnicy po dwakroć schodzili z estrady, aby skontrolować liczbę głosujących. Jeżeli nadto zważymy, że kolumny ruchu ludowego nie zjawiły się na placu boju, to zwycięstwo „stronnictwa narodowego“ nie przedstawi się jako dzieło siły, lecz jako dzieło przypadku.

Mylnem jest również twierdzenie, że „ład i porządek“ odniósł na całej linii tryumf stanowczy i świetny. Obóz „Dziennika“ zwyciężył przy wyborach „Komitetu“, lecz poniósł porażkę przy wyborze delegata, — tam Ligny, tu Waterloo. My na rezultat walnego zebrania nie skarżymy się bynajmniej, bo dla naszego politycznego programu delegat z postępowych szeregów jest wybitniejszym atutem niż kilku stronników w szeregach komitetu miasta Poznania.

Pomijając jednak przekręcanie faktów, to Dziennikowa obrona „stronnictwa narodowego“ nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. Organ „ładu i porządku“ stara się skonstruować definicyę „stronnictwa“ jako pojęcia, ale wkraczając w dziedzinę filozofii, w ktorej ten tylko z powodzeniem obracać się może, kto rozporządza obfitszym zasobem wiedzy, logiki i gimnastyki umysłowej, buduje określenie mętne i skrzywione. Według opinii „Dziennika Poznańskiego“ znamienną cechą „stronnictwa“ jest siła i do egzystencyi uprawnia je tylko pomyślny rezultat publicznych występów. Z definicyi takiej wynikałoby z żelazną konsekwencyą, że pewna grupa ludzi wtedy zyskuje znamiona stronnictwa, jeżeli na mocy liczebnej potęgi swojej odnosi zwycięstwo w tej lub owej dziedzinie życia społecznego, a traci je natychmiast i jako stronnictwo istnieć przestaje, gdy występy jej na arenie publicznej znamion siły nie posiadają. W logicznym rzeczy porządku nie miałoby zatem racyi bytu i prawa tytułu ani stronnictwo papieskie we Włoszech, ani stronnictwo Orleanistów we Francyi, ani stronnictwo Welfów w Niemczech. Nie mogłaby również w formie stronnictwa występować żadna grupa ludzi reprezentujących jakieś teorye nowe i reformacyjne, bo szeregi takich pionierów jutra stanowią zawsze mniejszość i nie mając siły w pierwocinach działalności swojej, dążą do jej zdobycia, A przecież nazwy stronnictwa nikt im nie odmawia, jeżeli hufce równomyślnych ludzi 1) zszeregują się około wspólnego, jasno określonego i mniej więcej przynajmniej jednolitego społeczno-politycznego programu, 2) jeżeli posiadają własną, odrębną organizacyę. Nie siła zatem lecz program i organizacya stanowią charakterystyczne cechy stronnictwa, a „stronnictwo narodowe“ żadnem z znamion powyższych wylegitymować się nie może. Wyraz stronnictwo w znaczeniu społeczno-politycznem mieści w sobie nieodzowny postulat pewnych cech formalnych, podobnie jak wyraz „małżeństwo“ określa również stadło połączone według pewnego szematu formalnego. Dwoje ludzi w znaczeniu prawnem, staje się wtedy dopiero małżeństwem, jeżeli dokonali ślubów przepisanych, i stronnictwo w znaczeniu społeczno-politycznem nie jest stronnictwem, jeżeli brak mu programu i formalnej organizacyi.

„Stronnictwo narodowe“ dotychczas nie ogłosiło żadnych programów politycznej lub społecznej natury, a w obec tego, że wśród osób, głosujących za listą tego stronnictwa, znalazły się obok obywateli o barwie „Dziennika“ i „Wielkopolanina“ jednostki o zabarwieniu „Kuryera,“ trudno nam nawet posunąć się do tej koncesyi, by bezbarwny, mętny i chwiejny bezustannie program „Dziennika“ poczytać za program stronnictwa. Być może, że p. Dobrowolski nosi się z zamiarami kartelu, ale oficyalność partyi kartelowej uznamy pod tym jedynie warunkiem, jeżeli ogłosi społeczeństwu kompromisowe stanowisko w sprawach społecznych i politycznych, oraz przedstawi organizacyę partyjną na wzór innych stronnictw europejskich.

Nie wątpimy ani jednej chwili, że p. Dobrowolski odczuwa w całej pełni słuszność zapatrywań naszych, bo przed kilku zaledwie miesiącami starano się w samej rzeczy z jego inicyatywy i z rozkazu wyższego o istotną organizacyę kartelu z programem społeczno-politycznym i zarządem na czele. Odbyły się nawet pod hasłem „ładu i porządku“ pourpar-

lers między stronnikami Kuryera i Dziennika Pozn. a na przedwstępne te narady zaproszono podobno, oprócz kilku redaktorów, mecenasów, konserwatorów i lekarzy, jednego z posłów naszych. Porozumienie jednak nie przyszło do skutku i po krótkiej polemicznej dyskusyi pochowano myśl założenia stronnictwa.

Pan Dobrowolski atoli nie dał za wygrane i nie mogąc na drodze legalnej przeprowadzić zamysłów swoich, chwycił się starym zwyczajem „bezprawia,“ — nie mogąc stworzyć o r g a n i z a c y i partyjnej i narzucić jej programu „Dziennika,“ przylepił na własną rękę i własną odpowiedzialność etykietę fikcyjnego stronnictwa na liście komitetowej. Jest to dyplomatyczna spekulacya w interesie chwili, a że pewna kategorya spekulantów naszych nie cofa się przed żadnem nadużyciem, o tem przekonały nas dokładnie najświeższe dzieje rozwojowych zapasów w społeczeństwie naszem.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

Wychodzący w Pelplinie „*Pielgrzym*“ (nr. 30 tak pisze o zmarłym wydawcy „Gazety Leckiej“:

„W mieście Lecu we Wschodnich Prusach umarł M. Gers, długoletni wydawca polsko-ewangielickiej „Gazety Leckiej“. Na Mazurach mieszkają Polacy, lecz ewangielicy. Gers pracował przeszło 50 lat piórem dla dobra swoich rodaków i ma wielkie zasługi. Lecz ów Gers jest żywem świadectwem, że jeżeli się chce dla ludu, którego coś uczynić, podnieść go w oświacie, zachować jego byt, to trzeba koniecznie wskrzesić, obudzić i pielęgnować w nim poczucie narodowe i miłość własnej narodowości. Gers znal naród polski, lubił go i wysoko cenił, ale w polskich Mazurach nie chciał widzieć i uznać Polaków, lecz tylko mazurów. On kochał tych mazurów po swojemu, ale nie umiłował ich jako ojciec miłuje swego syna, brat brata, jako kość z kości swojej. Nie należał do tych, którzy pragną, aby język polski jak najrychlej zniknął z pośród polskiego ludu, nie był zwolennikiem gwałtownej germanizacyi, a przecież 50letnią pracą swoją nie dopiął nawet tego, ażeby po nim było komu „Gazetę Lecką“ wydawać, owszem musiał, gdy już sam nie był w stanie, wydawnictwa tego kilka lat przed śmiercią zaprzestać. Dla czego? Nie dla tego, aby Mazury czytać po polsku nie chcieli; lecz dla tego, że dla braku przywiązania i miłości do ojczystego języka i narodowości i wobec upatrywania w niemczyźnie zbawienia dla polskiego ludu, nie ma nikogo, coby dla ludu polskiego umiał i chciał pracować, pisać, budzić go, oświecać i prowadzić. Brak poczucia narodowego staje się przyczyną opuszczenia ludu ze strony inteligencyi czyli wykształconych ludzi przyczynia się do tego, że lud nie czyta, nie myśli o sobie, że upada duchowo i zwolna grzęźnie w ciemnocie.“

O nowej owacyi dla Bismarcka donosi „*Gazeta Grudziądzka*“ w nr. 48:

Żyje Bismarck i ma jeszcze wielkie szczęście do kobiet niemieckich, którym potrafił wyperswadować, że wielbiona u nich przez Goethego kobiecość (das ewig Weibliche) wcale ich nie zdobi i polakożerczość więcej byłaby im do twarzy. Zacietrzew.one Niemkinie rzuciły poezyą do kąta, kopystki także i dalej w myśl Bismarcka . . . do czwartego zaboru Polski! Zdobyły już tarczę wielką i poniosą ją 21 bm. w tryumfie do Friedrichsruh. Na tarczy tej orzeł biały i rycerz polski pokonani przez złowróżbnego czarnego ptaka, a niżej biedna nasza Wisła i Warta, na których „straży“ stoją dwie tłuste niemieckie niewiasty.“

W nr. 85 „*Orędownika*“ czytamy następujące uwagi z powodu napaści „Kuryerowych“ na pp. dr. Krzymińskiego i dr. Rabskiego:

„Kuryer Pozn.“ niezadowolony i z posła dr. Józefa Krzymińskiego i z wystąpienia p. dr. Rabskiego na wtorkowem zebraniu wyborczem partyi dworskiej. Jednego i drugiego „Kuryer“ strawić nie może; pierwszego dla tego, że wysłany do Berlina przez wyborców, śmie smym wyborcom tłomaczyć się ze stanowiska, jakie w Kole polskiem zajmuje; drugiego dla tego, że na zebraniu, zwołanem przez partyą dworską, pokiereszował szyki tej partyi.

Nie znamy regulaminu redakcyjnego „Kuryera“, za który się schował ks, kanonik Echaust, gdy drukokował w „Kuryerze“ list ks. Arcybiskupa, wypierający się artykułów „Kuryerowych“, ale tak nam się wydaje, że byłoby może na czasie, aby ksiądz kanonik Echaust zajrzał i do tego Regulaminu i zregulował go jakoś — podług potrzeby czasu. Jeżeli bowiem „Kuryer“ będzie swych czytelników tak dalej częstował podobnemi artykulikami, jak o dr- Krzymińskim i dr. Rabskim, to rozdział między duchowieństwem a inteligencyą naszą — z łaski Regulaminu redakcyjnego „Kuryera“ — będzie się stawał z dniem każdym coraz większy. Inteligencya ma niewątpliwie obowiązek pracować nad utrzymaniem dobrego stosunku z duchowieństwem, ale nie sama; obowiązek ten ciąży także na duchowieństwie — i to ze względu na interes polskiego Kościoła katolickiego w zaborze pruskim. „Kuryer“ robi wszystko, co możliwe, ażeby się w tym punkcie duchowieństwo nasze jasno nie oryentowało.

. . . .

Na dwa artykuły wysadził się „Kur.“. aby wprost ośmieszyć p. dr. Rabskiego. Wie dla czego, wie, że dr. Rabski troszkę zamieszał interesa partyi dworskiej na wtorkowem zebraniu; czuje, że wszyscy, którzy w Poznaniu jeszcze zachowali zdolność politycznego myślenia, przyklasną szczerze p. dr. Rabskiemu i ucieszą się równie szczerze, że na zebraniu partyi dworskiej znalazł się ktoś, który rozsądne słowa wypowiedział. Ztąd — gniewy!

„*Gazeta Toruńska*“ tak pisze w nr. 84:

„Nas doszła wiadomość, że w centrum a także w Kole polskiem odzywają się głosy za poparciem ustawy przewrotowej, celem ratowania — parlamentu. Widocznie centrum przez ograniczanie swobód obywatelskich i przez posunięte do ostateczności ustępstwa na rzecz rządu, pragnie udowodnić, iż jest zdolnem do rządzenia (regierungsfähig) a posłów polskich łudzą centrowcy nadzieją, że uzyskawszy przeważny wpływ na na kierunek spraw publicznych i nam zapewnią ulgi.“

Rozpisując się zaś w nr, 85 o rezolucyach poznańskich taki załącza komentarz „Gazeta Toruńska“:

„Gdyby nasze komitety zechciały zwołać wyborców, nie znalazłby się ani jeden powiat, któryby nie podzielił zdania wyborców poznańskich. Wobec ważności sprawy byłoby rzeczą pożądaną, aby Koło jak najrychlej powzięło stanowczą decyzyę i ogłosiło ją tak rychło, żeby wyborcy jeszcze przed głosowaniem w parlamencie mogli się wyprzeć solidarności z Kołem polskiem, gdyby większość jego, czego nie przypuszczamy, oświadczyć się miało za ustawą przewrotową. Trzeba bowiem wiedzieć, że wyborcy polscy przepuszczą Kołu polskiemu jeszcze dziesięć projektów wojskowych, gdyby poprzeć je uznało za stosowne, ale najmniejszego uszczuplenia swobód obywatelskich nigdyby reprezentantom swoim nie przebaczyli. Słusznie bowiem zauważyła „Gaz. Gr.“, że łatwiej nam przetrwać nowe kulturkampfy i nowe ustawy antipolskie, niż znieść ustawę przewrotową. Ta ustawa ułatwiłaby zresztą przeprowadzenie najszkodliwszych dla nas ustaw, zamykając usta wszelkiej opozycyi w prasie i na wiecach.“

W sprawie otwartego listu Dr. Krzymińskiego do wyborców takie wygłasza opinie „*Orędownik*“ w nr. 86:

„Kuryer“ i „Dziennik“ uznali za stosowne zganić niektóre zdania z Listu otwartego posła dr. Krzymińskiego. „Dziennik“ czepia się strony formalnej, „Kuryer“ zasadniczej. I dla tego, co „Kuryer“ z powodu tego listu napisał, nie obchodzi tylko dr. Krzymińskiego, ale całe społeczeństwo.

„Kuryer“ z swego stanowiska, z stanowiska partyi dworskiej, ma oczywiście racyą. Na pierwszem miejscu stawia on koleżeńską solidarność posłów naszych względem siebie samych, a na drugiem dopiero miejscu solidarność posłów z narodem. Ta druga solidarność jest tylko na to, żeby posłów z swoich kół wybierać, a pierwsza solidarność na to, żeby posłowie w Kole stanowili w sobie zamknięty cech, nic z tego cechu nie wypuszczali i zakryci tajemniczością obrad, rządzili społeczeństwem jak im się podoba.

Nie mógł też Otwarty list posła dr. Krzymińskiego przypaść do gustu organom partyi dworskiej; bo w Liście był stosunek tych dwóch solidarności przedstawiony.

Poseł dr. Krzymiński odzywając się publicznie, tem samem stwierdził: że solidarność posłów z narodem stawia na pierwszem miejscu i od tego obowiązku dopiero czyni zależną koleżeńską solidarność względem kolegów w Kole.

Nie potrzebujemy dodawać, że szerokie koła ruchu ludowego przyklasną p. dr. Krzymińskiemu, bo solidarność koleżeńska w Kole jest rzeczą poszanowania godną, ale po nad nią stoi — interes narodu.

Oczywiście krok p. dr. Krzymińskiego jest czemś nowem, zrywa z starą tradycyą Kół naszych, jest niebezpieczny dla polityki staroszlacheckiej, a mianowicie dla partyi dworskiej, bo jak tak zrobi jeden i drugi poseł, to cały pałacyk Wzajemnej Admiracyi i Adoracyi, w którym posłowie nasi ciepło dotąd siedzą, pójdzie w okruchy.

Czują to organa dworskie, dla tego atakują dr. Krzymińskiego, czepiając się nawet drobnostek“.

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.
Dramat w 4 aktach.

(*Ciąg dalszy*).

Scena IV.

Ci sami i Wolski.

WOLSKI.

Panie hrabio! Słyszałem ostatnie słowa. Pan nie masz prawa...

WARECKI.

Bez deklamacyi, panie Wolski! Ja od pana nie żądam żadnych wyjaśnień, a za mnie mówić będzie kuzynka moja (*wskazuje na Melanię i wychodzi na lewo*).

Scena V.

Melanja. Wolski.

WOLSKI (*po chwili milczenia*).

A więc odmówił!

MELANJA (*w zakłopotaniu*).

Panie Zygmuncie! Mnie o nic nie winuj, walczyłem za was, — niestety napróżno.

WOLSKI.

O! wiem pani i ufam tobie zupełnie... Ale on!... on! „Arcykomicznne?!“ Porachujemy się panie Warecki (*grozi drzwiom, przez które wyszedł Warecki*).

MELANJA.

Żadnych szaleństw! — Proszę pana...

Wolski.

Moją być musi, choćby mi przyszło przemocą wtargnąć w dom tego starca. Tylko jedno, pani Melanjo, jedno chcę wiedzieć: Czy ja liczyć mogę na Martę?

MELANJA (*z pewnem wahaniem*).

Marta oddaną jest Panu, ale ojciec to głaz nieugięty. Od czterech lat bywasz pan w salonach moich i poznałeś ten wielki nasz świat. Czasem rzuca on hasła liberalne ale na dnie duszy pozostał zawsze ten sam, — kasta i nic więcej. Wy artyści macie wyjątkowe stanowisko, lecz nie przeceniajcie go. Pieszczą się wami w salonach, ale rodzinę zamkną przed wami — zamkną ją mianowicie wtedy, jeżeli poczują w was wrogów przywilejów swoich... Panie Zygmuncie!... Prawie byłoby rozsądniej... (*waha się*) zresztą ja sama nie wiem... bałam się tej chwili, drżałam przed wyrokiem, bo znam kamienną dumę Wareckich.

WOLSKI.

Złamię ją, choćby kark własny przyszło położyć. Ale Marta... jeżeli ona ulęknie się ojca... jeżeli...

MELANJA.

Co pan zamierza?...

WOLSKI.

Sam jeszcze nie wiem, ale muszę ją widzieć dziś jeszcze koniecznie. Tylko ty pani nie odbieraj mi odwagi, nie opuszczaj mnie.

MELANJA.

Drżę przed Wareckim. On czujny i podejrzliwy. Skoro pana tu jeszcze ujrzy, marzyć nie można o sekretnem spotkaniu.

WOLSKI.

Więc w parku czekać będę na skinienie pani. — w alei świerkowej. Niechaj tam przyjdzie lub tu przyjść rozkaże.

MELANJA.

Dobrze.... Ale nie wiem... boję się czegoś.

WOLSKI (*całuje ją w rękę*).

Mój anioł stróż mnie nie opuści. Do widzenia! W alei świerkowej!

(*wychodzi drzwiami frontowemi*).

MELANJA. (*idzie ku oknu i spogląda za Wolskim*).

Jaki on piękny z tym ogniem w oku i przekleństwem w ustach.

(*po chwili*).

To zimne braterstwo jego boli jak jałmużna... A gdybym ja... Nie! Nie! Miłość moja to jak spóźniona w odlocie jaskółka i słońca nie ma już dla niej.

(*Drzwiami po prawej stronie wchodzi hr. Warecki. Krawat jego skrzywiony, chustką ściera pot z czoła*).

Przegląd prasy słowiańskiej.

Nader interesujący artykuł poświęca stosunkom finansowo-ekonomicznym Słowiańszczyzny północnej słowiński tygodnik naukowy, wychodzący w Tryeśbie, „Slowanski Svet“:

„Biorąc rzecz z ogólno słowiańskiego stanowiska, nasuwa się dziś już pytanie uzasadnione, czy Bułgarya i Serbia warte były tylu ofiar, aby uzyskać swobodę polityczną, którą niespełna od lat dwudziestu posiadają. Stosunki, jakie obecnie tam panują, zmiana, jaka na południu Słowiańszczyzny zaszła, pożądane być mogą tylko Niemcom, a więc wrogom Słowian. Niemcy mieli osobne na półwyspie bałkańskim rachunki i w rachunkach tych się nie zawiedli. Słowiańszczyzna południowa znajdowała się, dopóki była pod rządami Turcyi, poza sferą ich wpływów, dziś niemczyzna i żydostwo kraje te zalewa. Na Serbii i Bułgaryi okazała się w całej pełni owa prawda, że stosunki ekonomiczne, zawisłość finansowa w ścisłym stoją związku z wolnością polityczną. Bułgarzy i Serbowie popadli dziś pod panowanie Wiednia i Berlina i zawisłości tej się nie pozbędą, dopóki finansowo nie staną się samodzielnymi.

Fatalna polityka ekonomiczna Stambułowa i Milana zwiększała z każdym rokiem długi państwa; długi te mają dziś już mało widoków opłacalności, a politycy antysłowiańscy śmieją się cichaczem, że im się udało zdobyć dwóch mistrzów, pracujących po ich myśli.

„Przez zaprowadzenie w krajach tych nowożytnej konstytucyi powstała korupcya. Żydostwo, które przedtem na małą tylko skalę ludność demoralizowało, obecnie taktykę zmieniło, poczęło się panoszyć w obu krajach, wykupując wszystko, cokolwiek do handlu się nadawało. Żydzi pozbawili oba kraje tylu bogactw naturalnych, że spustoszenia, którego dokonali, nie można porównać z nieszczęściami, jakie Słowian spotkały podczas 500letniej niewoli tureckiej.

Serbscy i bułgarscy mężowie stanu nie zastanawiają się nad tem, że kraj w ten sposób obłupiony nigdy nie zdoła wybrnąć z długów, w które wpadł obecnie. Bułgarya i Serbia jest dziś wydaną na pastwę cudzym spekulacyom finansowym.

„W Serbii zaszły już rzeczy tak daleko, że pożyczek udzielać jej nikt nie chce. Do tego samego stanu dąży Bułgarya. Wielki handel i przemysł wyzyskują cudzoziemcy; zubożali chłopi, zrujnowani podatkami idą do fabryk, których właściciele żydzi i Niemcy, znający smutną sytuacyę, wyzyskują robotników niesłychanie. To też już w Serbii i Bułgaryi mamy socyalistyczne pisma i związki robotników, świadczące o tem, że wyzysk istnieje i jest odczuwany.

Obcy przedsiębiorcy wywożą z kraju materyały surowe i płacą za nie tyle, ile zechcą, zubożając tym sposobem kraj.

Tak gospodarka finansowa pogrąża Bułgaryą i Serbią w coraz to większą zawisłość od cudzych państw i cudzych kapitałów. Zawisłość ta przenosi się na politykę i zmusza oba kraje do prowadzenia polityki, sprzecznej ich tradycyi.

Obcy duchowi społeczeństwa aparat konstytucyjny, urzędnicy i wojsko pochłania tyle pieniędzy, iż nie stać na pokrycie wydatków na cele oświaty.

Serbowie i Bułgarzy jęczeli pod jarzmem tureckiem, ale nie zginęli, sił przyrody bowiem nie umiał Turek wyzyskiwać ani zniszczyć, ale tego dziś dokonał cudzy kapitał. Turek nie niszczył starych tradycyi narodowych, gdy dziś cudzy kapitał przynosi cudzy język, cudze towary, zwyczaje, i zabija ducha narodu.

Analogiczne stosunki panują w Chorwacyi. Zawisłość polityczna od Madziarów osłabia liczebnie Słowian; ekonomicznie z jednej strony niszczą Chorwatów podatki, z drugiej spekulacya żydowska. Czarnogóra jest jedynem państwem na południu Słowiańszczyzny, rozwijającem się pomyślnie.

„O Słowińcach i istryjskich oraz dalmatyńskich Chorwatach nie można podobnego wydać sądu, ponieważ zawiśli oni od ciał prawodawczych krajów poszczególnych i od państwowej polityki finansowej. Obecnie jest dla nich konieczną wewnętrzna organizacya, w którym to kierunku zaledwie pierwsze uczyniono kroki.“

„Jeżeli się nie będą organizować na każdem polu, stanie się, że cudzy i żydowski kapitał zdobędzie wszystkie majątki, przedsiębiorstwa, siły przyrody, jak tego mamy dowód w okolicach zamieszkałych przez Niemców i przez Włochów.

* * *

Białogrodzki dziennik „Dnevni List“, reprezentujący t. z. ideę wielkiej Serbii, połączenia Serbów węgierskich, chorwackich i austryackich w jedno państwo, tak się rozpisuje o rzekomym upadku moralnym stronnictw politycznych w stolicy Serbii:

„Wiele złego, które się dziś u nas dzieje, ma przyczynę w bezcharakterze jednostek. Tem jedynie daje się wytłomaczyć, że u nas zachodzą fakta, gdzieindziej niemożliwe.

Za to nam wstydzić się trzeba tak przed ludem serbskim, jak opinią publiczną Europy. Dziś u nas ludzie inteligentni nie wahają poniżyć się do roli powolnych pachołków władzy!... Inteligencya nasza wyszła z ludu, lud ją z wszelką gotowością postawił na czoło, a ona dziś interesa ludu zdradza, zdradza również naukę, sprzeniewierza się ideałom i sumieniu. Jeżeli u nas straci ktoś raz imię nieposzlakowane, to coraz więcej upada, aż w końcu błoto ustami pije!

Co gorzej to ludzie moralnie upadli mają smutną odwagę pokazywania się u nas w publicznych lokalach, towarzystwach, mają czelność mówienia o honorze, o imieniu nieposzlakowanem, o publicznem dobru i moralności, a nieledwie że nie wskazują na siebie palcem jako na wzór wszelakich cnót obywatelskich.

Przewodnicy naszych stronnictw politycznych są moralnie zobowiązani, ażeby ludzi takich z życia publicznego wykluczać. Tym to sposobem bowiem, że ich cierpimy, szerzy się demoralizacya i niewiara wśród ludu do przewodników, a dbać o tę czystość charakterów dziś powinniśmy w pierwszym rzędzie, bo żyjemy w czasach zaiste ważnych niezmiernie... W takich to chwilach na zaufanie wzajemne i szacunek przedewszystkiem powinniśmy baczyć.“

D. K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(Notatki).

III.

(Związki przedsiębiorców. Ich konsekwencye. Związek fabrykantów sukna. Związek browarów. Strejk w angielskich fabrykach obuwia. Nieudana konwencya fabrykantów wyrobów szklanych.)

Już od dawna dążenie przedsiębiorców do łączenia się w związki celem unormowania produkcyi, a co zatem idzie, podnoszenia cen swoich wyrobów, lub też w celu przeciwdziałania zmowom robotników, zajmuje uwagę badaczy, ekonomistów, działaczy politycznych i publicystów. Rozprawiano o takich związkach na kongresie ekonomistów w Wiedniu w ubiegłym roku, gdzie złożono nawet obszerną monografię, poświęconą temu przedmiotowi; rozprawiano też o nich na zjeździe partyi socyalno-demokratycznej w Kolonii. Ekonomiści nie bez słuszności zwracali uwagę na niebezbiepieczeństwo, jakie z tej strony grozi konsumentom i w ogóle z obawą patrzyli w przyszłość, doradzając interwencyą państwa przeciwko tej przewadze ekonomicznej. Dwaj tylko znaleźli się profesorowie: Brentano (z Monachium) i Wolf (z Zurychu), którzy wyśpiewywali dytyramby na cześć boga

---

Scena VI.

Melanja. Karol.

KAROL (*rzucając się w fotel*).

A!

MELANJA (*odwracając się nagle*)

Karolku!... Co tobie?

KAROL.

Nic, nic....

MELANJA.

Jesteś blady. Zasłabłeś może.

KAROL.

To nic. Lekki zawrót głowy...

MELANJA.

Nie szczery jesteś. Taisz coś przedemną.

KAROL (*zrywa się i gwałtownym ruchem pokój przebiega*).

Nie pytaj mnie, nie pytaj. Co ja pocznę teraz!

MELANIA.

Mówże nareszcie. Nie dręcz mnie dłużej.

KAROL (*ochrypłym głosem*).

Przegrałem... przegrałem na słowo... wszystko, wszystko. Leski wziął tysiące... krew i tuk z kości.

MELANJA.

Karolu!

KAROL.

Tak... przegrałem gotówkę, ...grałem na kredyt i jakiś szał mnie ogarnął... rozum stracilem. A! przeklęte karty. Wino szumiało w głowie, demon gry szeptał do ucha, dublowałem stawki, — wreszcie Leski kredytu odmówił i bank zwinął. Co ja pocznę teraz?!

MELANJA.

Ile? Ile przegrałeś?

KAROL.

Czy ja wiem? Czterdzieści tysięcy marek, — może więcej... Nie pytaj... zmysły postradam.

MELANJA.

A! ten Leski! Zły duch, któremu już połowę majątku w paszczę rzuciłeś. Karty, giełda... mówiłam, błagałam... napróżno.

KAROL.

Stało się. Już nic mi nie wyrzucaj, bo chyba zwarjuję. Dałem słowo, — w przeciągu 24 godzin muszę zapłacić, a kredyt mój wyczerpany do szczętu. Nic nie pozostaje, tylko kula w łeb i — koniec.

MELANJA.

Szaleństwo! Trzeba uzyskać od Leskiego zwłokę, a przecież znajdziesz jaki środek.

KAROL.

Cóż mi po zwłoce? *po chwili* Melanjo! Czy ty możesz mi pożyczyć tej sumy (*chwyta ją za rękę*). Ja kart już nie tknę,.,. przysięgam.

MELANJA.

Gdybym mogła, pokryłabym dług twój natychmiast, ale wiesz dobrze, że przed dwoma laty całą gotówkę oddałam, by ojca twego ratować, a dobra moje od śmierci męża coraz mniej przynoszą. Nic oszczędzić nie mogę i sama tonę już w długach.

KAROL.

Więc nie ma ratunku.

MELANJA.

A hipoteka Karłowic?

KAROL.

Nie ma co mówić. Nikt grosza nie da.

MELANJA.

Więc sprzedać Karłowice.

KAROL.

Sprzedać? tak! to ostateczny środek, ale spłaciwszy Leskiego, wyjdę ze wsi jak panna z tańca. Zresztą, kto dzisiaj kupi, kto ma kapitały? Chyba kolonizacya. A wtedy żegnaj mandacie poselski. Wiesz, że konkuruję o Izę Górecką. Stary to rachmistrz nielada, a pyszny jak paw. Zięć — właściciel Karłowic i poseł przyszły — nęcił go, ale Warecki — hołysz, to papier bezwartościowy na giełdzie matrymonialnej. Wieś, mandat i pannę — wszystko djabli wezmą.

MELANJA.

Jednak jakieś wyjście znaleść się musi. Trzeba z ojcem pomówić.

KAROL.

Gordyjskiego węzła nie rozetnie ojciec. Kupując dla mnie Karłowice, tak rodzinny mająątek zaszargał, że gdyby nie twoja pomoc, runąłby już dawno. Dla Marty prawie nic nie zostało, a Turowo cudem niemal trzyma się w rękach naszych... (*po chwili*) Ha! nie ma rady.

kapitału. Pogląd socyaldemokratów był w części optymistyczny. Chcieli widzieć w tej koncentracyi „krok do urzeczywistnienia socyalizmu“.

Zjawisko jest nader złożonem, gdyż wchodzą tu w grę najrozmaitsze wręcz przeciwne interesy. Przedewszystkiem nasuwają się pytania:

1) czy konsekwencyą tego rodzaju związków nie będzie nadmierne podwyższenie cen produktów na niekorzyść konsumentów? Na pierwszy rzut oka zdaje się, że odpowiedź może być tylko twierdzącą. Jednakże dotychczasowe dane faktyczne nie zupełnie są zgodne z takim wnioskiem.

2) Czy przyczynią się one do dalszej koncentracyi kapitałów i podkopania drobnych przedsiębiorstw przez wielkie?

I na to pytanie trudno odpowiedzieć kategorycznie. Zdarza się bowiem, że drobni przedsiębiorcy dzięki warunkom danej gałęzi przemysłu mogą się łączyć, nie narażając na szwank swej samoistności, — w innych znów razach przestają oni istnieć samodzielnie i stają się jakby akcyonaryuszami wielkich przedsiębiorstw. W każdym razie ci, którzy pozostają po za koalicyą, — a częstokroć specyalne warunki kredytu i handlu lub rodzaj przedsiębiorstwa nie dozwalają niektórym wytwórcom na przyłączenie się, — zostają skazani na zagładę. Ten los spotyka również znaczną część pośredników, co dla społeczeństwa może być tylko korzystnem, gdyż zbyt dużo dziś traci ono sił i środków na funkcyę pośrednictwa pomiędzy producentem a konsumentem.

3) Jak pod wpływem tych koalicyi ukształcą się stosunki handlowe pomiędzy państwami?

Niektóre związki, dążąc do zmonopolizowania całej produkcyi jednej gałęzi, czego już dopiął syndykat naftowy towarzystw amerykańskich i rosyjskich, których połączenie jest dziś już faktem dokonanym, muszą dążyć do zniesienia wszelkich tam celnych. Inne ograniczając się na złączeniu producentów w jednem państwie będą i nadal prowadziły politykę protekcyjną.

4) Jak ułożą się stosunki pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem?

Pohopny do uogólnień obserwator odpowie nam, że związki przedsiębiorców są bezwarunkową klęską dla robotnika, gdyż skazują go na łaskę i niełaskę naturalnych jego przeciwników. Jednakże faktem jest, że w ogóle położenie robotników w wielkich przedsiębiorstwach jest lepsze niż w drobnych. Drobny przedsiębiorca będzie się bronił przeciwko podwyższeniu robocizny do upadłego, wielki częstokroć zgodzi się na to, gdyż może się kontentować niższą ratą nadwartości, a przytem dzięki organizacyi, jaką wprowadzać dozwala wielkie przedsiębiorstwo, jest ono eo ipso produkcyjniejszem*). Chodzi więc tylko o to aby robotnicy przez tworzenie związków potężnych mieli możność przeciwdziałania potędze skoalizowanych kapitalistów. Miejmy nadzieję, że w obec takiego położenia konieczność swobody tworzenia związków robotniczych zostanie uznana przez prawodawców parlamentarnych.

Zadaniem tych notatek nie może być wyświetlanie zawiłych kwestyi powyższych. Ograniczamy się tu jedynie na podaniu faktów z tej dziedziny, przyczem nie mamy zamiaru nawet opisywać wszystkich istniejących związków, (czytelnik znajdzie odpowiednie dane w szczegółowo opracowanym artykule „Unternehmerverbände“ w „Handwörterbuch der Staatswissenschaften“, wydanym przez Conrada, Lexigaet i t. d.) podajemy jedynie fakty z ostatnich kilku miesięcy o ile doszły one do wiadomości publicznej.

Znanym jest objawem, że związki fabrykantów bezrobocia są rezultatem strejków. Chodzi tu o przeciwdziałanie presyi bezrobocia. Do związków takich, których w Niemczech samych naliczyć można kilkanaście, przybył nowy. Połączyli się fabrykanci sukna w prowincyach nadreńskich. Z konwencyi zawartej zaznaczyć należy, że związkowi zobowiązali się nie wchodzić samodzielnie w żadne układy z robotnikami strejkującymi. Skargi przeciwko nim wytaczane rozstrzygać będą sądy przemysłowe (Gewerbegerichte), natomiast zatargi pomiędzy fabrykantem i jego robotnikiem ma rozstrzygać sąd złożony wyłącznie z fabrykantów, których związek wybiera z pośród uczestników konwencyi. Charakterystycznem jest uznanie instytucyi państwowej jako instancyi policyjnej przeciwko robotnikom, lecz odrzucenie jej jako sądu polubowego i chęć utworzenia sądu z samych tylko przedsiębiorców.

Pokrewny charakter noszą dwie konwencje zawarte pomiędzy zarządami browarów, z których jedna obejmuje browary w północnych Niemczech, druga bawarskie. Obydwie zawarte w celu przeciwdziałaniu bojkotom. Pierwsza została wywołana wielkim bojkotem berlinskim, druga bojkotem monachijskiego browaru „Münchener Kindl“, z którego piwa nie chcieli pić robotnicy, ponieważ restauracya browaru odmówiła sali na zebranie robotnicze.

W Berlinie utworzono fundusz, z którego mają być pokryte straty w razie nowego zatargu. W Bawaryi posunięto się dalej, gdyż zawarto ścisłą umowę, aby żaden browar nie dostarczał piwa odbiorcom innego, jeżeli ten podlegnie bojkotowi. Ażeby zmusić uczestników do przestrzegania ustawy, każdy z browarów złożył kaucję w wekslach in blanco. Obecnie jeszcze uraza, jaką żywi Berlin do Monachijum o to, że ztamtąd dostarczono piwa w czasie wielkiego bojkotu, jest w zbyt świeżej pamięci, ale wkrótce zapewne nastąpi połączenie obu związków.

W Anglii związki fabrykantów w celu przeciwdziałania trade-unionom istnieją już oddawna. W ostatnich właśnie dniach wystąpiły do walki ze sobą dwa takie związki. Robotnicy w kilku fabrykach obuwia zażądali podwyżki płacy, i nieotrzymawszy jej zastrejkowali, na co fabrykanci odpowiedzieli wydaleniem robotników ze wszystkich fabryk tej gałęzi. 200 000 robotników tym sposobem świętuje. Związek ich rozporządza sumą 63,000 fstr., a ponieważ liczą na poparcie robotników amerykańskich będą mogli wytrzymać strejk w przeciągu 6—8 tygodni. Tymczasem jest obawa, że obuwie amerykańskie zaleje rynek angielski.

Syndykat przeciwko wyzyskowi handlarzy zawarli fabrykanci wyrobów szklanych do lamp różnego rodzaju w Niemczech. Powstanie tej konwencyi jest dosyć charakterystyczne i dlatego opiszemy je nieco szczegółowiej. W roku 1887 zawarto w tej gałęzi przemysłu konwencję, obowiązując się nie sprzedawać towaru poniżej cen wspólnie ułożonych. Konwencja nie dała się utrzymać i dziś ceny po części nie pokrywają kosztów produkcyi. Powodem w danym wypadku była nie nadprodukcja, lecz brak kapitału obrotowego po stronie przedsiębiorców. Fabryki tego rodzaju bowiem, dla łatwo zrozumiałych przyczyn, począwszy od lutego do lipca włącznie, muszą produkować jedynie na skład. Łatwo więc było kupcom hurtownym, którzy zwykle rozporządzają znaczniejszym kredytem, narzucać warunki fabrykantom i zmuszać ich do zawierania kontraktów za jaką bądź cenę, a wiadomo przecież, że niekiedy fabrykant zmuszonym bywa do produkowania chociażby ze stratą byleby nie dać upaść przedsiębiorstwu, co pociągnęłoby za sobą zupełną stratę kapitału zakładowego. Doszło więc do tego, że w ostatnim roku sprzedawano po cenie o 5—10—20 procent niżej kosztu. Obecnie dzięki jednemu z tych właśnie pośredników zdołano zebrać kapitał zapasowy w ilości około 10 milionów marek. Fundusz ten dostarczy kapitału obrotowego fabrykom, które przystąpią do syndykatu. Ten zakupuje wszystkie wyroby zsyndykowanych,

*) W Łodzi n. p. obok olbrzymich fabryk, zatrudniających tysiące robotników, istnieją zupełnie drobne przedsiębiorstwa, nie posiadające nawet własnych zakładów fabrycznych, zatrudniające tkaczy ręcznych, którzy na krosnach dostarczonych przez fabrykanta tkają jego przędzę. Położenie tych robotników jest smutne nad wszelki wyraz i istnienie tego rodzaju przedsiębiorstw dowodzi nie żywotności przemysłu drobnego, lecz zdolności głodzenia się robotnika.

Trzeba się starać o kupca i wyjść o kiju z Karłowic.

(*rzuca się rozpaczliwie na szezlong*).

MELANJA.

Nie patrz tak czarno... Trzeba pomyśleć... Ratami spłacisz Leskiego.

KAROL.

Nie wypada! a zresztą (*śmieje się z przymusem*) ten Shyllok!

(*za sceną słychać głosy zmięszane*).

MELANJA.

Cyt... idą.

(*wchodzi Leski, Ostrzyński i kilku panów*).

Scena VII.

Ciż, Leski, Ostrzyński i kilku panów.

LESKI (*wchodząc*).

Nie trzymam dłużej, bo od upału krew bije do głowy. (*kłania się Melanji*). Wolę z paniami pływać po jeziorze, marzyć o księżycu i liczyć złote gwiazdy na niebie.

OSRRZYŃSKI.

Rachmistrz z bankiera!

MELANJA.

Panu Leskiemu widocznie szczęście służyło.

OSTRZYŃSKI.

Łaskawa Pani! Wygrana w karty, to przegrana w miłości.

LESKI.

W takie przysłowia dziś tylko pensyonarki wierzą. Szczęście w grze to pieniądz, a pieniądz, to szczęście u kobiet.

MELANJA (*ironicznie*).

Więc zbankrutował pan Leski!

OSTRZYŃSKI.

Brawo! To Wolterowska odpowiedź.

LESKI.

Wielbię dowcip nawet wtedy, gdy sam jestem jego ofiarą.

MELANJA.

Na regacie zapomnę wszyscy o bólach. Łodzie gotowe, towarzystwo czeka w salonie, zatrąbmy bojową pobudkę.

OSTRZYŃSKI. (*spogląda na Karola, który siedzi nieruchomy*),

Vae victis!

(*Wszyscy zwolna wychodzą drzwiami na lewo. Ostatnim w szeregu jest Leski, który z ironicznym uśmiechem spogląda na Karola*).

KAROL (*zrywa się nagle*).

Panie Leski!

LESKI.

Hrabio Warecki!

(*Zatrzymuje się przed Karolem, reszta towarzystwa opuszcza scenę*).

Scena VIII.

Karol. Leski.

KAROL.

Proszę pana o minutę posłuchania.

LESKI.

Słucham. (*Chwila milczenia*) Słucham cię hrabio!

KAROL.

Suma przegrana do Pana wynosi około 40000 marek.

LESKI.

Tak jest! 40000 i setek kilka.

KAROL (*z widocznym ambarasem*).

Jest to suma tak wielka, że trudno mi będzie w przeciągu 24 godzin uiścić się z długu.

LESKI.

Sądziłem, że to drobnostka dla Pana.

KAROL.

Kredyt mój chwilowo wyczerpany... muszę prosić o zwłokę... ureguluję interesa, rozpatrzę się... proszę mi zaufać.

LESKI (*z ironją*).

O! panie Warecki, ja wierzę uczciwemu słowu, ale słowo to weksel tylko, nie gotówka. Zycie jest wzajemnem rabunkiem. Mnie obdarto wczoraj, ja dzisiaj obdzieram, a by zakryć własne dziury, nie mogę dziur pańskich oszczędzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

płacąc z góry po cenach umówionych i sprzedaje z małą zwyżką na korzyść kasy syndykalnej. Zwyżka ta będzie użytą na koszta administracyi i amortyzacyę kapitału. 96 procent całego wyrobu Niemiec jest w rękach syndykatu. Czy nie pokusi on się o zbytnie wygórowanie cen? Zapewne posunie je do granic, na jakie pozwalają cła ochronne, o ile wygórowane ceny nie pociągną poważnych kapitałów do konkurencyi. W każdym razie wielu zapewne pośredników będzie musiało zwinąć chorągiewkę.

Wyzysk tych pijawek zajmujących się pośrednictwem zmusił również do zawarcia konwencji pomiędzy fabrykantami tkanin półwełnianych w prowincyach nadreńskich i pomiędzy przędzalniami w Saksonii. Postanowiono nie dawać długich nadmiernie kredytów. W danym razie powodzenie jest wątpliwe, gdyż właśnie w tych gałęziach przemysłu istnieje konkurencja uciążliwa i powszechna hyperprodukcja.

I. B. M.

LITERATURA I SZTUKA.

Alfons Szczerbiński.

Wspomnienia z życia muzyka.

Było to w roku 1878, kiedy poświęcając się wyższym studiom muzycznym na król. akademii muzycznej w Berlinie dowiedziałem się przypadkowo poraz pierwszy o pobycie w Berlinie mego ziomka, młodego kompozytora: Alfonsa Szczerbińskiego. Uradowany tą wiadomością i szczęśliwy, że niedługo poznam kolegę-ziomka, duszę pokrewną, spragniony i marząc o tej przyjaźni koleżeńskiej udałem się za wskazanym adresem, aby nawiązać nić przyjaźni, którą teraz śmierć niemiłosierna na zawsze przecięła. Alfons Szczerbinski mieszkał przy Lindenstrasse w dawnym klasztorze. Z wązkiej i ponurej celi klasztornej wyszła naprzeciw mnie nizka postać człowieka o cerze niezdrowej, o łagodnem i sympatycznem spojrzeniu, na wypogodzonem wysokiem czole, znać było delikatne ślady wytężonej pracy umysłowej, a krótko przystrzyżone włosy tem wyraźniej wykazywały kształtność czaszki, której budowa zdradzała więcej filozofa aniżeli artystę.

Zaambarasowany widocznie niespodziewaną moją wizytą, zaprosił mnie do skromnego swego mieszkania. Pogawędka o studyach, o sztuce, szczera wymiana naszych planów na przyszłość, wnet zbliżyły nas do siebie.

Od tego czasu Alfons Szczerbiński częstym był u mnie gościem, grywaliśmy dużo wspólnie, jadaliśmy razem. razem zwiedzaliśmy Berlin i nieraz do późnej godziny rozprawialiśmy dużo i z zapałem „de omni re scibili et quibusdam aliis.“ Już wtenczas uderzyła mnie obok wielkich zdolności muzycznych, tak fortepianowych jak i kompozytorskich, w kwestyach dotyczących sztuki pewna stanowczość, ale i zarazem wielka jednostronność sądu i smaku. Ideałem jego była muza Mozarta i Bacha. Wielki kontrapunkcista pociągał go głębokiemi kombinacyami harmonicznemi i logicznością w rozwijaniu prostego motywu muzycznego, Mozart zaś idealnem wykończeniem formy i tą jasnością i pogodą swej muzyki, którą Alfons Szczerbiński uwielbiał aż do przesady; nie znajdując jej u innych kompozytorów w takiem wykończeniu, wydawał o nich sąd nieraz niesprawiedliwy i tem zrażał sobie znajomych i nauczycieli. Technikę na fortepianie posiadał bardzo wyrobioną, choć także w jednostronnym kierunku i w polifonicznym. Zbiór fug i preludyi Bacha pod tytułem „Wohltemperirtes Clavier“ był codzienną jego strawą; prawie wszystkie grał z pamięci, niektóre transponował i grał na życzenie ex tempore w innej tonacyi, za to techniki nowszej fortepianowej nie opanował nigdy w tym stopniu, wskutek czego gra, pozbawiona brawury nie wywierała na nieznawców muzyki właściwego wrażenia. Mimo to gra jego była wysoko artystyczną i odznaczała się zawsze inteligencyą i sumiennością. Alfons Szczerbiński reprezentował w gronie naszem uporczywie kierunek konserwatywny. Mówił mało, ale myśli swe wypowiadał zawsze jasno zaprawiając je nieraz sarkazmem, ale mimo to lubiliśmy go wszyscy i ceniliśmy jego charakter prawy. Pracował i tworzył dużo; zachodziły jednak i dłuższe przerwy chorobą spowodowane, która go trapiła i od pracy nieraz odrywała. Coraz częstsze kłopoty o jutro odstraszały go nieraz na czas dłuższy od pracy. Mimo to posiadał Szczerbiński sporo utworów w swej kompozytorskiej tece. Prawie wszystkie jego prace poznałem i nieraz się zachwycałem ich pięknościami. Drukiem ogłosił autor kilka mniejszych utworów jak: Rondo G-dur, darowane pani M. Hulewicz, Rondo F-dur, darowane hr. Plater, dwa poszyty pieśni bez słów, z których pierwszy przypisał autor zacnemu swemu opiekunowi ks. Wawrzyniakowi i wspaniały Polonez na pamiątkę przyjęcia konstytucyi w Polsce 3go Maja 1791 r. W utworach tych uderza przedewszystkiem pewien artyzm formy, zatrącający nieraz konwencyonalnością. Myśl muzyczna uchwycona wszędzie jasno i logicznie przeprowadzona. Z wyjątkiem Poloneza, który ma zakrój utworów koncertowych, nadają się wydane kompozycye wybornie dla młodzieży uczącej się na fortepianie i śmiało zastąpić mogą jaki ograny do przesytu ustęp z sonaty lub inny utwór znanych dostatecznie kompozytorów. Pod względem technicznych trudności nie przekraczają utwory te nigdzie średniego stopnia.

Kompozycye, jak zwykle u początkujących artystów, nie przynosiły Alfonsowi Szczerbińskiemu prawie żadnych zysków, musiał się po części kontentować sławą, że je drukowano. Trzeba było więc pomyśleć i wynaleść inne źródła tem więcej, że przypływ niezbędnych funduszów coraz częściej się rwał, a u mnie groził wówczas całkiem wyschnięciem. Postanowiliśmy więc urządzić na prowincyi kilka koncertów. Temu zbawiennemu postanowieniu stanęła jednak naprzeciw wielka nieśmiałość Alfonsa Szczerbińskiego. Ledwie dał się namówić do koncertu w Śremie, zkąd pochodził. Przy pomocy czcigodnego ks. Wawrzyniaka urządziliśmy na auli gymnazyalnej pierwszy i ostatni zarazem wspólny koncert, na którym śp. Alfons wykonał kilka własnych utworów a pomiędzy temi ładne Rondo G-dur, które później ogłosił drukiem. Przed samem prawie występem narobił mi i zacnemu naszemu impresaryo niemało kłopotu, oświadczając stanowczo, że jest chory i wystąpić pod żadnym warunkiem nie może.

Kiedy więc prośby nic nie pomagały, chwyciłem się ostatecznie groźby, oświadczając, że przed drzwiami najęci ludzie już czekają, aby go z łóżka porwać i przemocą do sali koncertowej zaprowadzić. Ten żart poskutkował i poczciwy Alfons uzdrowiony wystąpił w koncercie, uparł się tylko przy tużurku, gardząc frakiem.

Koncert wypadł pod względem artystycznym dobrze, a ponieważ ks. Wawrzyniak pokrył prawie wszystkie koszta z własnej kieszeni. dostało nam się po kilkadziesiąt marek w udziale.

Kilka lat później wracając z Wiednia do Berlina na dalsze studya, zastałem tam znów Alfonsa Szczerbińskiego zajętego studjami na król. akademii muzycznej u profesorów Grella i Bargiela. Śp. Alfons zapoznał mnie z kilku Rosyanami, pomiędzy temi z sympatycznym kompozytorem Aleksandrem Iljinskim z Kazania i literatem Werneckingem z Moskwy, serdecznymi i nieodstępnymi odtąd towarzyszami. Z prawdziwym żalem zauważyłem, że życie Alfonsa nie usłane na różach. Choroba dogryzała mu coraz bardziej, walczył prócz tego z niedostatkiem; zasklepiwszy się prawie całkiem w muzyce Mozarta i wiernie styl ten naśladując, zabijał własną samodzielność coraz

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.*)

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

I.

Było to w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia, nazajutrz po św. Mikołaju. W parafii był odpust i Bazyli Brechunow, gospodarz wiejski, kupiec drugiej gildii, nie mógł odjechać z domu: z rana musiał być w cerkwi, jako przewodniczący komitetu cerkiewnego, a później przyjmował i ugaszczał u siebie krewnych i znajomych. I wówczas dopiero, gdy odjechał ostatni gość, Brechunow zaczął się wybierać w drogę, do sąsiedniego dworu, aby nabyć ostatecznie od dziedzica las, który od dawna targował. Pilno mu było skończyć z tą sprawą, gdyż obawiał się, aby miejscy kupcy go nie ubiegli, pozbawiając dogodnego kupna. Młody dziedzic dla tego tylko żądał dziesięciu tysięcy, że on, Brechunow, dawał mu siedm, co wynosiło trzecią zaledwie część rzeczywistej wartości lasu. Bazyli potrafiłby może jeszcze coś utargować, las bowiem znajdował się w jego okręgu, a między nim i resztą powiatowych wiejskich kupców istniała od dawna umowa, na podstawie której żaden z nich nie podbijał ceny w okręgu drugiego, ale doszła do wiadomości Brechunowa wieść, że kupcy z gubernialnego miasta zamierzali rozpocząć targi o goraczkinowski las i to go skłoniło do dobicia niezwłocznie targu z dziedzicem. Skoro więc tylko skończył się odpust, Brechunow wydostał ze skrzyni 700 rubli własnych, dołączył do nich 2,300 cerkiewnych, które miał u siebie na przechowaniu, aby uczynić okrągłe trzy tysiące, wsunął starannie porachowane papierki do pugilaresu i gotów był już do jazdy.

Parobek Nikita, który jeden tylko z całej czeladzi Brechunowa był tego dnia trzeźwy, pobiegł zaprzęgać. Nikita znajdował się w stanie trzeźwym tego dnia dla tego, że był pijakiem i od zapust*), podczas których przepił sukmanę i buty, poprzysiągł sobie, że pić więcej nie będzie i od miesiąca przeszło nie brał do ust wódki. Nie pił więc i teraz pomimo pokusy, jaką w nim wzbudziła obfitość trunku, którym się raczono ogólnie w dwudniowe święto.

Nikita był mężczyzną lat 50, pochodził z sąsiedniej wsi i spędził większą część życia nie na własnem gospodarstwie, lecz na służbie u obcych. Chlebodawcy cenili go za pracowitość, zręczność i siłę w robocie, a głównie za dobry, łatwy w pożyciu charakter; pomimo to biedak nigdzie nie mógł ubyć przez czas dłuższy, ponieważ dwa razy do roku, a niekiedy i częściej oddawał się nałogowemu pijaństwu, a wówczas nietylko przepijał wszystko. co miał na sobie, ale stawał się nadto kłótliwy i zuchwały. Bazyli Brechunow wypędzał go też kilkakrotnie ze służby, ale później brał znowu, ceniąc jego uczciwość, miłość dla zwierząt domowych, przedewszystkiem zaś — taniość. Brechunow płacił Nikicie nie ośmdziesiąt rubli rocznie, ile wart był naprawdę taki parobek, ale czterdzieści i te wypłacał bez stałych terminów, kapaniną, najczęściej nawet nie pienię-

*) „Pan i sługa“, obrazek Tołstoja, którego druk dzisiaj rozpoczynamy, doznaje ogromnego powodzenia w Rosyi. Firma wydawnicza „Pośrednik“ przygotowała jednocześnie dwa wydania (droższe i tańsze) i oba, w łącznej liczbie 15,000 egzemplarzy, rozeszły się w ciągu dni czterech. To samo opowiadanie wydrukowano w tomie 14 pism hr. L. Tołstoja. Tom ten, wydany w 10.000 egz., rozszedł się również w ciągu dni kilku. Natychmiast przygotowano nowy nakład 14 tomu pism hr. L. Tołstoja. W tych dniach rzeczona firma „Pośrednik“ puściła w obieg tanie wydanie dla ludu tejże powiastki po cenie bajecznie niskiej, bo 3 kopiejki za egzemplarz. — Przekład tej noweli zamieściło kilka czasopism warszawskich i galicyjskich. Korzystamy z przekładu „Kuryera Lwowskiego“.

*) Mowa tu o zapustach przed postem adwentowym, który prawosławni zachowują przez tyleż tygodni i niemniej ściśle od tak zwanego wielkiego postu przed Wielkanocą. (Przyp. tłom.)

bardziej, na pomysłach oryginalnych wyciskając piętno szablonu. To też nie tyle to, co stworzył ile raczej przekonanie, że byłby pozostawił daleko cenniejsze jeszcze utwory, gdyby smutne warunki i coraz bardziej rozwijająca się choroba nie była w zaraniu podcięły skrzydeł młodemu kompozytorowi i nie spaczyły najwybitniejszego talentu twórczego, jaki ziemia wielkopolska w ostatnim czasie była wydała, — zniewala mnie do wypowiedzenia na tem miejscu żalu szczerego z powodu tej straty dla sztuki naszej muzycznej. Nie ma u nas prawdziwego i głębokiego zamiłowania do sztuki muzycznej, brak nam też mecenasów, którzyby artystów młodych radą i czynem wspierali, instytucye nasze dobroczynne do niedawna jeszcze ignorowały młodzież zawodom artystycznym się poświęcającą nie dziw więc, że talenta w zapomnieniu giną zmuszone walczyć o chleb powszedni wtenczas, kiedy ze spokojem i skupieniem wszystkich sił pracować winny nad swem wykształceniem. Ofiarą tej obojętności naszego społeczeństwa padł także zacny Alfons Szczerbiński.

Niedługo po mem powtórnym przyjeździe do Berlina wyjechał kolega Alfons do hr. Platera do Niekłania pod Warszawę, gdzie przyjął miejsce nauczyciela muzyki. Nie wiem, jak długo na tem stanowisku wytrwał, ale przed kilku laty, kiedy mnie ostatni raz w Poznaniu odwiedził, opowiadał mi, że od lat kilku pracuje w Krakowie jako nauczyciel muzyki.

Skarżył się na los, że mu poskąpił materyalnych korzyści z mozolnej pracy, mówił że pracować w takich oprzykrzonych warunkach trudno, ba! nawet niemożebne, skarżył się na zdrowie, że go opuszcza coraz bardziej. Co do mnie to nie łudziłem się już więcej co do Alfonsa. Przeczuwałem, że długo nie wytrwa w tych stosunkach, że długo nie pożyje, ale łudziłem się do tyla porówno z nim może, że sądziłem, iż stosownie do robionych mu nadziei powierzą mu nareszcie przy konserwatorium muzycznem w Krakowie miejsce nauczyciela teoryi, lub gry na fortepianie, a śp. Alfons znalazłszy jakieś zadowolnienie ztąd, osięgnąwszy choć ten skromny cel w życiu, odżyje na czas jakiś. Omyliłem się. U siostry swej w Śremie znalazł ostatecznie wypoczynek po wędrówce pełnej śmiałych marzeń, ale niemniej bogatej w ciernie i kolce. Niech mu ziemia, która go wydała, lekką będzie!

Edwin Jahnke.

Na zakończenie artykułów o restauracyi ruiny kościoła N. P. Maryi w Inowrocławiu.

Chcielibyśmy się, pomijając wszelką polemikę, podzielić z czytelnikami kilku spostrzeżeniami, jakie poczyniliśmy przy ruinie za ostatniej bytności naszej przed kilku dniami w Inowrocławiu, i zwrócić uwagę na analogiczny przykład, jaki nam się nasunął w toku dyskusyi, podjętej w sprawie cennego zabytku architektury naszej.

Jak to fotografiami przed 4 laty na miejscu zdjętemi okazać możemy, ucierpiała ruina przez zaniedbanie jej w górnej części dość znacznie. Zabezpieczenie jej murów z góry cementem nie musiało być wystarczającem. O ile to z dołu dostrzedz było można, wieże tak wyglądają, jakby wogóle z góry nie były cementem zabezpieczone. Z ich wierzchu bowiem kilka warstw muru skutkiem wpływu powietrza ubyło, tak, że z pierwotnego gzymsu romańskiego wyższej wieży ledwo małe cząstki od dołu pozostały na oznakę, że wogóle jakieś artystyczne zakończenie wieży tam się znajdowało: Jeden górny łuk okienkowy z tyłu tejże wieży już się zapadł, a w 2 innych łukach okienkowych z przodu również cegły zwornikowe się pozesuwały, tak, że wkrótce i te dwa łuki się pozarywają. Dalej zamiast dwóch większych łuków nad oknami nawowemi od strony północnej i jednego takiegoż łuku od strony południowej widać teraz pomiędzy filarami otwory okien z góry rozwarte. Czyżby te łuki w przeciągu lat 4 same zapaść się miały, czy też je może przy zacementowaniu murów z wierzchu, jako grożące zawaleniem się, z umysłu wyjęto?

Pozwolilibyśmy sobie zwrócić Inowrocławianom uwagę także na dwa drzewa od strony południowej za blisko przy ruinie stojące, które jej fundamenta korzeniami swemi zapewne podminowują. Owego znaczniejszego pęknięcia na tej stronie, z ktorem w związku będzie zarwanie się najbliższego łuku nad oknem nawowem, nie pamiętamy z dawniejszego czasu; ta zaś część ruiny jest o tyle charakterystyczna, iż w niej się zachowało wprawdzie zamurowane — ale jedyne pierwotne okno romańskie w swych zarysach. Mojem zdaniem dobrzeby było te dwa drzewka szkodzić mogące ruinie, a należące jak się zdaje do grobów już zapomnianych, wyrudować.

Drzwi żelazne kratowane są wprawdzie w wejściach do wnętrza ruiny powprawiane, ale jedne z nich stały otworem i kontroli nad niemi nie widzieliśmy żadnej. Krótko przed naszemi odwiedzinami, jakto po śladach widzieliśmy, ćwiczyli się młodzi Wandale w rzucaniu cegłami do owych tylokrotnie opisywanych, w granicie wypukło powykuwanych twarzy ludzkich na stronie północnej. Takie zostawienie drzwi otworem łatwo do większego zniszczenia ruiny i do nadużyć jeszcze gorszych prowadzić może, o których nam przed 4 laty opowiadano rzeczy nie do uwierzenia. Lepiejby było ruinę ze wszech stron zamykać, aby zwłaszcza letnią porą w swych kryjówkach nie dawała nocnego przytułku włóczęgom. Kto zaś z obcych będzie ciekaw jej wnętrza, ten o klucz u sąsiadów lub na niedalekiem probostwie może się dopytać.

Wogóle wrażenie, jakie po tych odwiedzinach ruiny wynieśliśmy było o tyle smutne, że gdyby ten najstarszy zabytek z naszej przeszłości miał rzeczywiście pozostać tylko ruiną, to jeśli zniszczenie jej — mimo poczynionych przez rząd królewski zabezpieczeń — tak dalej, jak przez te ostatnie 4 lata, postępować będzie, ruina wpływom naszego klimatu zbyt długo się nie ostoi. Czyż ta ruina ze swemi na północnej stronie sterczącemi filarami nie przypomina biednej wdowy — teraz w nędzy, która lepsze zaznała czasy, — wyciągającej ku niebu ramiona? Czyż nikt ze swoich nad nią się nie zmiłuje? nikt nie wspomoże? Czyż to wyrzutem sumienia nie będzie dla Inowrocławian i bogatych Kujaw, że tak cennej pamiątce z naszej przeszłości upaść i zrujnować się pozwolą? Mojem zdaniem, choć chwilowo u rządu przeważa ten kierunek, aby starożytne zabytki o ile możności starannie zachowywać, nikt ręczyć nie może, że te zapatrywania, może wskutek gorszego stanu finansowego państwa, się nie zmienią, a wtenczas ruina niezawodnie szybciej do upadku się pochyli, jeżeli od nas samych nie dozna opieki. Po tem, cośmy w tej materyi powiedzieli, sądzimy, że staraliśmy się dosyć wzbudzić zajęcia ogólnego dla tak cennego zabytku z naszej przeszłości; w jaki sposób tę ruinę od zagłady uchronić, to już pozostawić należy obywatelom miejscowym.

Zanim zakończymy, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników i na to, że rówieśnica inowrocławskiej ruiny, kolegiata w Kruświcy aż do r. 1859 także była bardzo spustoszoną i groziła ruiną, a jednak głównie z amatorstwa dla starożytności Fryderyka Wilhelma IV z gruzów się podniosła i została (choć nie wzorowo) odrestaurowaną. Znaleźliśmy wszakże w „Baugewerkszeitung“ (1890 r.) jeszcze charakterystyczniejszy opis rekonstrukcyi ruin sławnego gniazda Welfów, zamku Dankwarderode w Brunświku, zbudowanego przez Henryka Lwa. Ileż tam trudności, przeciwieństw i przesądów, wygłaszanych przez filistrów, bogatych patry-

---

dzmi, lecz drogo taksowanym towarem z własnego sklepu.

Żona Nikity, Marta, słynna niegdyś z gładkiego liczka, prowadziła gospodarstwo przy pomocy wyrostka syna i dwóch dziewcząt służących. Nie życzyła ona sobie powrotu Nikity do domu po pierwsze dla tego, że od lat dwudziestu w bliskich pozostawała stosunkach z bednarzem, chłopem z sąsiedniej wsi, a powtóre, że jakkolwiek traktowała męża ze wzgardliwem lekceważeniem wówczas, gdy był trzeźwy, bała się go jak ognia, gdy miał w głowie. Pewnego razu naprzykład, Nikita, będąc pijany, rozbił — jakby dla powetowania wiecznej swej uległości w stanie trzeźwym — skrzynię żony, wydostał najcenniejsze stroje i na kapustę porąbał siekierą na pniu wszystkie jej suknie i sarafany. Pensyę Nikity pobierała w całości — za jego przyzwoleniem — żona. Oto i teraz na dni parę przed świętem, Marta była u Brechunowa, wzięła u niego mąki w lepszym gatunku, herbaty, cukru, wódki, co wszystko razem wyniosło wartość trzech rubli, a nadto 5 rubli gotówką i dziękowała mu, jakby za szczególniejszą łaskę, chociaż obliczając jak najtaniej, Brechunow winien jej był rubli dwadzieścia.

— Albož to zawieraliśmy ze sobą jakie umowy? — mówił Brechunow do Nikity. — Trzeba ci, bierz, a potem odsłużysz. U mnie nie tak, jak u innych: czekaj, aż ci obliczą i kary potrącą. Ja się kieruję sumieniem. Służysz ty mnie, więc i ja pamiętam o tobie. Potrzeba jaka ciebie przyciśnie, do mnie się zwróć jak w dym. I mówiąc to Brechunow sam był najgłębiej przekonany, że jest dobroczyńcą Nikity, tak wymownie umiał dowodzić i tak wszyscy, nie wyłączając Nikity, utwierdzali go w tem przekonaniu.

— Prawda wasza Bazyli Andrzejewiczu, służę, jak mogę, pracuję niby dla rodzonego ojca, rozumiem, bardzo dobrze rozumiem — odpowiadał Nikita, bardzo dobrze rozumiejąc, że Brechunow oszukiwał go, ale zeznając zarazem, że niepodobieństwem byłoby kusić się o uregulowanie z nim rachunków, że jednak musi służyć u niego, nim inne znajdzie miejsce i brać, co się da wziąć.

I teraz, gdy gospodarz kazał mu zaprzęgać, Nikita, wesoły i chętny, jak zawsze, pobiegł, stawiając nogi na sposób gęsi, rzeźkim i lekkim krokiem do wozowni, zdjął z gwoździa ciężką uzdę rzemienną, zakończoną kwastem i pobrzękując żelaziwem wędzidła, skierował się w stronę zamkniętego chlewa, gdzie stał w odosobnieniu od innych, koń, którym miał jechać Brechunow.

— Ha, znudziłeś się, znudziłeś, ty, pieszczochu? — mówił Nikita w odpowiedzi na ciche rżenie, jakiem go witał średniej miary, ładny, cokolwiek przysadzisty, gniady ogier, który sam tylko znajdował się w owym chlewie. — No, no, nie rwij się, głuptasku, wpierw napoić się jeszcze trzeba — ciągnął dalej Nikita takim tonem, jakim się przemawia do istot, rozumiejących ludzką mowę i strzepnąwszy połą ubrania kurz z zaokrąglonego, z wyżłobieniem po środku grzbietu konia, włożył na zgrabną, młodą jego głowę uździenicę, wysunął z pod niej uszy, przygładził grzywkę na łbie i ściągnąwszy cugle, poprowadził poić. Ostrożnie stąpał gniadosz po grubej warstwie nawozu, wyścielającej chlew i na dworze dopiero ruszył z fantazyą w podskokach i wierzgnął, udając, że chce kopnąć tylną nogą biegnącego obok Nikitę.

— Figle, figle ci w głowie, łotrze jeden! — śmiał się Nikita, który wiedział, jak ostrożnie wyrzucał nogą gniadosz, aby nie uderzyć, lecz z lekka tylko dotknąć krótkiego jego kożuszka i bardzo lubił jego fortele.

Po napiciu się zimnej wody koń stał przez chwilę nieruchomie, potem wciągnął głęboko powietrze, poruszył twardemi, wilgotnemi wargami, z których woda, spływając po wąsach, przejrzystemi kroplami kapała w koryto — i parsknął.

— Nie chcesz, to sobie i nie pij, dobrze, że o tem wiem; ale później nie napieraj się, pamiętaj! — mówił Nikita całkiem poważnie wyczerpująco tłomacząc gniadoszowi swoje względem niego zachowanie się i wnet pobiegł z nim razem ku wozowni, szarpiąc za cugle młodego.

cyuszów i głośnych demokratów trzeba było zwalczać i odpierać, żeby zainteresowanie w kołach miarodawczych dla tej perły sztuki romańskiej obudzić! Ani ostatni z panujących Welfów, ostatni książe bruńświcki, ani sejm tamtejszy na ten cel pieniędzy przyzwolić nie chcieli. zarząd miejski żądał częściowego usunięcia ruiny dla ułatwienia komunikacyi, a największy poklask większości znalazł plan jakiegoś profesora architektury, który pozostałe resztki chciał zamienić na malowniczą ruinę. Szczęściem, że dla zbyt sprzecznych zdań ministeryum nie pozwoliło na tykanie ruiny. Sytuacya rozjaśniła się dopiero, gdy wstąpił na tron bruńświcki jako rejent książę Albrecht pruski, który za poradą architektów zabrał się stanowczo do restauracyi siedliska Welfów i do dawnej je znowu podniósł świetności...

Oby i dla ruiny inowrocławskiej jeszcze jaśniejsze czasy nastały.

Poznań 10. 4. 95. *J. Rakowicz.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Słowo prawdy.

(Odpowiedź „Kur. Poznańskiemu“ i ks. Laubitzowi).

> Es ist ehrenvoll von der Dummheit gehasst zu werden:
> Es ist beneidenswert von der Gemeinheit gahasst zu werden.
> Ludwig Feuerbach.

Jest pewien rodzaj polemiki dziennikarskiej, w obec której ten tylko znajdzie skuteczną odpowiedź. kto wprzódy zniży się do błotnistego poziomu przeciwników swoich. Pastwi się ta kategorya bandytów gazeciarskich mianowicie nad tymi. którzy z góry gwarantują jej, do czasu przynajmniej, przywilej bezkarności, bo zanadto cenią czystość rąk własnych, aby je w błocie zanurzyć. Tłum równomyślnych czytelników wyje z radości nad menażeryjnem widowiskiem, — pisma przyzwoitsze, lecz nie sympatyzujące z przedmiotem napaści ulicznej, uśmiechają się w dyplomatycznem milczeniu, a garść szlachetniejszych ludzi głosi swój protest, żal i potępienie w zamkniętem kółku jedynie, z obawy przed pałką opryszków: I tak się panoszy ta zgraja „rzeźników pióra“ jak bohaterzy włoskich Abruzzów, — rozzuchwaleni tchórzostwem społeczeństwa i moralną ruiną stróżów publicznego porządku.

Reprezentantem tego rodzaju rzemiosła na poznańskim gruncie jest — nie do uwierzenia! — organ duchowieństwa, mianujący się najwierniejszym sługą Chrystusa i najsumnienniejszym stróżem religii: „Kuryer Poznański“. Gdyby ktoś podjął się niewdzięcznej pracy zgromadzenia wszystkich gatunków broni, jakiemi od lat kilku dziennik ten wojuje, możnaby z tego utworzyć wspaniałe archiwum, z znamiennym napisem: „Dzieciom wstęp wzbroniony“. Bojkot, oszczerstwo, paszkwil, insynuacya i lepkie, obrzydliwe wyzwiska, — oto tytuły pojedyńczych ksiąg i foljantów tego gabinetu poznańskiej kultury. A nad drzwiami błyszczy krzyż Chrystusowy i powiewa sztandar o papiezkich barwach!

Nienawiść „Kur. Pozn.“ do pewnych grup i jednostek politycznych przerodziła się w jakąś manję dziką, zagłuszającą najelementarniejsze postulaty szlachetności, taktu i parlamentaryzmu, — artykuły jego to niekiedy orgja szalona. — jakieś rozbestwienie, gdzie człowiek milczy, zwierzę tylko mówi, — jakaś histerya, przerażająca się w szał na dźwięk pewnych nazwisk i haseł społecznych. Gdy przeciwnik błyśnie mu w oczy floretem, on chwyta widły i zapieniony rzuca się na wroga.

Od pewnego czasu ulubionym przedmiotem Kuryerowych napaści stało się moje nazwisko. Oprócz różnic społecznych i politycznych, które nas dzielą, odgrywa tu pierwszorzędną rolę jeden fakt prywatnej natury, którego powtórnie przed trybuną opinii publicznej prezentować nie będę, — dość, że w „Kur. Pozn.“ nie walczy ze mną polityk broniący chorągwi swojej, lecz mści się człowiek, którego moralne próchno zdemaskować musiałem.

Ogólnikowe to wyjaśnienie winien jestem publiczności, aby odsłonić źródła tej furyi chorobliwej, z jaką w ostatnich czasach każdy mój występ publiczny wita organ klerykalny, i w świetle pełnem pokazać *całych* ludzi, z któremi jako szermierz „Przeglądu Pozn.“ potykać się muszę. W polemikach moich z legionem Kuryerowych „rycerzy“ nie posługiwałem się nigdy bronią rzezimieszków, — nie operowałem nigdy w cieniach nocy i nigdy damasceńskiej szpady nie zamieniałem na nóż. pałkę lub kamień. I tak do dnia dzisiejszego toczyła się walka nierówna: ja nie chciałem się zniżyć do poziomu przeciwnikow moich, oni, przywykli do błota swojego, żyć nie umieli w innej atmosferze. Zuchwalsi z dnia na dzień zerwali wreszcie wszystkie hamulce i tem samem stracili prawo do jakiejkolwiek z mej strony względności. Proszę się zatem nie dziwić słowom moim. *Tu l'as voulu George Dandin!*

Zanim scharakteryzuję ostatni artykuł *ks. Laubitza*, zamieszczony w „Kur. Pozn.“, cofnąć się muszę kilka tygodni wstecz i przedstawić czytelnikom dwie kartki z archiwum lojalnego organu: „Paszkwil i oszczerstwo“.

W dzień premiery ostatniego z dramatów moich na poznańskiej scenie wydała oficyna Kuryerowa bezimienny pamflet w błogiej nadziei, że garścią żółciowych insynuacyi i płytką karykaturą feljetonów moich zabije w oczach publiczności autora i sparaliżuje wrażenie utworu. Broń zawiodła paszkwilantów, — błoto nie imało się upatrzonej ofiary. Wtedy postanowiono chwycić się radykalniejszego środka. I oto wysyłają *najbliższe gwardye* Kuryerowe do warszawskiego „Słowa“ (Nr. 44) korespondencyę, w której, po kilku mdłych komplementach dla mojej literackiej działalności, autor roni łzę chrześcijańską nad zbłąkanym talentem i z westchnieniem oświadcza, że niestety pióro swoje oddałem na usługi spółki H. K. T. i otrzymałem za to Judaszowe srebrniki. Dla ścisłości dodać muszę, że klerykalne „Słowo“ powołane bardzo energicznie do porządku przez redakcyę „Przeglądu Tygodniowego“ i zniewolone listem w sprawie tej przezemnie wystósowanym, odwołało publicznie na pierwszej stronnicy nikczemne oszczerstwo.

Zawiodła zatem po raz drugi broń Kuryerowa, — ale apeluję niniejszem do opinii publicznej i zapytuję, jakiem mianem zaszczycić brudną robotę tych, którzy z słowami „Za kościół i wiarę“ na ustach, wzorem najgorszych bandytów dziennikarskich obdzierają z czci ludzi uczciwych. Opryszek zakupujący mszę na intencyę mordu, skrytobójca uświęcający sztylet dotknięciem relikwii, ulicznica odmawiająca „Ave Maria“ w antraktach grzesznej pieszczoty — to podobizny Kuryerowych rycerzy.

Po dwóch bezskutecznych napaściach umoczył organ duchowieństwa po raz trzeci pióro swoje w błocie i oto ukazały się dwa artykuły: „Z miasta“ i „Same ruiny.“ Pierwszy z tych fabrykatów poddałem chemicznej analizie w ubiegłym numerze i przekonawszy się o cudownych właściwościach Kuryerowej mikstury, zaleciłem ją jako emetyk w czasie świąt Wielkanocnych. Drugi, którego autorem jest ks. wikary *Laubitz* z Inowracławia, prezentuję dzisiaj czytelnikom „Przeglądu“, a uprzedzam z góry, że artykuł ten ogłosił k a p ł a n k a t o l i c k i w wilją C h r y s t u s o w e g o Z m a r t w y c h w s t a n i a, gdy lud modlił się nad świętemi grobami i drżącemi usty całował rany „Ukrzyżowanego.“ I oto wśród jękliwej melodyi dzwonów i rozdzierającej nuty „Gorzkich

---

wesołego konia, który wierzgał, stawał dęba i rżał donośnie.

Z parobków nie było nikogo, w domu jeden tylko i to obcy, znajdował się mężczyzna, mąż kucharki, który przyszedł w święto żonę odwiedzić.

— Pójdź, zapytaj, bracie — zwrócił się doń Nikita — do jakich sani, rozłożystych czy masiuteńkich mam zaprzęgać.

Mąż kucharki wrócił z oznajmieniem, że gospodarz kazał wziąść małe sanie. Nikita tymczasem ubrał konia w chomąt, podwiązał nabijane guzikami siodło i niosąc w jednej ręce lekką, malowaną duhę, a drugą prowadząc konia, zbliżył się do dwóch par sanek, pod wozownią stojących. — Kiedy do masiupeńkich, to niech będzie do masiupeńkich, mruczał, wprowadzając między hołoble*) inteligentne zwierzę, które teraz wciąż udawało, że chce go ugryźć i zaczął przy pomocy męża kucharki zaprzęgać.

Kiedy już robota była niemal skończona i tylko lejce należało zarzucić, Nikita posłał męża kucharki do wozowni po słomę, a do spichlerza po derkę.

*) Hołoble, po rosyjsku ohłoble, zastępują w zaprzęgu rosyjskim, rozpowszechnionym na Litwie, dyszel. Duha po rosyjsku duga, wyrobiona z drzewa, ma kształt silnie naciągniętego łuku i piętrząc się nad karkiem konia łączy hołoble, do których jej końce przymocowują się silnie rzemieniami. (Przyp. tłum.)

— Teraz dobrze będzie. No, no, nie zjeżaj się tak! — mówił Nikita, układając w saniach słomę ze świeżo wymłoconego owsa, przykryję cię zaraz płótnem zgrzebnem, a z wierzchu derką. Ot tak, teraz wygodnie będzie siedzieć — ciągnął dalej, łącząc czyn ze słowami i podsuwając ze wszystkich stron pod siedzenie brzegi derki.

— Dziękuję ci bracie! — zawołał do męża kucharki — we dwóch każda robota żwawiej idzie. — I ujmując w garść lejce, o złączonych kółkiem końcach, przysiadł na kozieł i skierował rwącego się do biegu, dobrego konia po zmarzłym nawozie podwórza ku wrotom.

— Stryjku, hej stryjku! zawołał za nim, wypadając pośpiesznie z głośnem szczęknięciem klamki, z sieni na podwórze siedmioletni chłopak, ubrany w czarny, krótki kożuszek, nowe białe walonki*) i watowaną czapkę. — Weź mnie ze sobą do sanek! — prosiło dziecko cienkim głosikiem, zapinając w biegu kożuszek.

— No, no, spiesz się, sokoliku — odparł Nikita i zatrzymując konia, dopomógł wsiąść promieniejącemu radością synkowi gospodarza, poczem wyjechał na drogę.

*) Powszechnie używane w Rosyi ciepłe, o krótszych lub dłuższych cholewach obuwie, wyrabiane ze specyalnego gatunku, grubego filcu, białej, szarej lub ciemno-brązowej barwy. (Przyp. tł.)

Dochodziła trzecia godzina popołudniu. Powietrze było chłodne — koło 10 mniej więcej stopni mrozu — pochmurne i wietrzne. W podwórzu wydawało się zacisznie, ale na ulicy dął silny wiatr, zmiatając śnieg z dachu sąsiedniej wozowni, a na rogu koło łaźni kręcąc białe tumany.

Zaledwie Nikita wysunął się z podwórza i skręcił pod dom, gdy Bazyli Brechunow z papierosem w ustach, w powleczonym kożuchu baranim, nisko a mocno owinięty pasem, wyszedł z sieni na skrzypiący pod jego walonkami deptanym śniegiem ganek, gdzie przystanął, zasuwając brzegi kołnierza z obu stron rumianej, ogolonej — z wyjątkiem wąsów — twarzy, aby włosie nie wilgotniało od oddechu.

— Patrzcie go, tego smarkacza, co wszędzie wścibić się musi! — zauważył Brechunow, dostrzegłszy siedzącego w saniach synka — i błysnął w uśmiechu białemi zębami. Wódka, którą pił z gośćmi, wprawiła go w stan podniecenia i ztąd czuł się bardziej niż kiedy zadowolony z siebie i ze wszystkiego, co było jego własnością. Otulona wełnianą chustką, która okrywała jej plecy i głowę tak szczelnie, że tylko oczy można było z pod niej dojrzeć, blada i chuda żona Brechunowa wyszła go żegnać i teraz stała tuż za nim w sieniach.

— Wziąłbyś przynajmniej Nikitę ze sobą

żalów" odzywa się nagle wikary inowrocławski w odpowiedzi na mój przedostatni feljeton, dotyczący ruiny kościoła N. P. Maryi. Czytelnicy „Przeglądu" znają tę sprawę. Chodziło o restauracyę cennego zabytku architektury romańskiej i o niesłychany beztakt ks. L a u b i t z a, miotającego nizkie insynuacye osobistych interesów na przeciwników wandalizmu prowincyonalnego i broniącego z najwyższą efronteryą zasady, że w sprawach architektury kościelnej „głos w pierwszej linii i głos decydujący" ma zawsze ksiądz, nigdy architekt. Krytyka moja, nie przekraczająca w żadnym ustępie granic parlamentaryzmu, tak zdenerwowała inowrocławskiego estetyka, że pocałowawszy w rękę gospodynię swoję, poprosił ją o kilka kwiatów kuchennej elegancyi i związawszy je tłustym sznurkiem szynek wielkanocnych zawieszonych w wędzarni, wysłał pod firmą „Same ruiny" do redakcyi „Kuryera Poznańskiego." Proszę posłuchać, jak wytworny ks. Laubitz, „który lata całe oddawał się studyom architektury i liczne i dalekie w tym celu odbywał podróże" (?!) i który przypomina przy tej okazyi, „że już osiem lat jest wikaryuszem" i „na tem podrzędnem stanowisku z korzyścią dla ludu i ku zadowoleniu władz pracuje" — odzywa się do przeciwnika swojego:

„Jesteś jak owe zwierzątka, które, gdy są w niebezpieczeństwie życia, wstręt przeciwnikowi czynią, otaczając się atmosferą woni, której oprócz nich nikt inny nie znosi."

„Jesteś przylądowym (?) sykofantą."

„Pan Rabski jest grubo wkwinięty."

„Jeszcze pan się z kilku akcyonaryuszami skaramboluj, a pójdziesz w duraki."

„Zbitego i schwaconego Pegaza trzeba żywić wytłokami buraczanemi. Zrobić pegazowi szmaus na święta. Słusznie mu się taki Kraftfutter należy. Gdy się trochę wypasie może mu i dowcipu przybędzie."

Sądzę, że to wystarczy. Dziś ks. Laubitz stracił prawo do jakiejkolwiek z mej strony względności i traktuję go po prostu tak jak się traktuje ulicznika, rzucającego mierzwą na przechodniów. W zapadłych kątach Królestwa polskiego spotkałem raz starego proboszcza schłopiałego do szczętu i przemawiającego w ten sposób z a m b o n y do parafian swoich: „Mówiłem wam, byście mi przynieśli na odpust drobiu, jaj i masła, ale proste bydle jest poczciwsze od was. Lepsza świnia, bo z niej mam przynajmniej szynki i kiełbasy". —

Wytworny ksiądz Laubitz stoi w moich oczach na równym poziomie z tym schłopiałym starcem, tylko z tą różnicą, że z tamtego życie i otoczenie wypruło artystyczne pierwiastki duszy, a u ks. Laubitza inteligencya i artyzm jest marnym pokostem, który ani jednej chwili nie zdusił brutalnej natury. I tamten siwy staruszek mimo całej swojej „schłopiałości" był człowiekiem, dla którego kłamstwo i oszczerstwo było zbrodnią, — ks. Laubitz natomiast posiada dwa katechizmy: Katechizm Chrystusowy — to maska, katechizm fałszu i kalumnii — to czyn.

Za ilustracyą tej taktyki niechaj posłuży przykład następujący: Przypominają sobie czytelnicy proces Tarnopolski, — smutną historyę seminarzystów i gimnazyastów, oskarżonych o zdradę stanu za dziecinne wybryki nieco jaskrawszego patryotyzmu i zakładanie tajnych kółek, w których uczono się historyi polskiej i czytano pisma demokratyczne. „Dziennik Kujawski" — stojący pod protektoratem ks. Laubitza starał się przed zapadnięciem wyroku wpłynąć na sędziów przysięgłych, piętnując młodzież uwięzioną i solidaryzując się namiętnie z prokuratorem austryackim. Wtedy to zaprotestowałem przeciw takiemu postępowaniu, przypominając ks. Laubitzowi, że każdy z nas miał swoją „Sturm i Drangperiode", a gdyby porywy gimnazyalnego radykalizmu zawierały zdradę stanu, to i protektorzy „Dziennika Kujawskiego", — cała ta generacya, do której ks. Laubitz i ja, uczeń jego ówczesnych teoryi należałem, paść powinni ofiarą kodeksu karnego. Bo każdy z nas „konspirował" po trochu, zakładając kółka i lubując się w efektownych hasłach.

W obec tej uczciwej obrony uwięzionej, a później werdyktem sądu przysięgłych jednogłośnie uwolnionej młodzieży, taką obecnie ks. Laubitz ogłasza replikę:

„Zamieścił p. Rabski w swoim „Przeglądzie" s z l a c h e t n ą d e n u n c y a c y ą na osobę piszącą z wymienieniem nazwiska, — denuncyacyą niczem nieprowokowaną, niczem nie uzasadnioną; w z y w a ł p r o k u r a t o r a n a w y t o c z e n i e p i s z ą c e m u p r o c e s u z a — z b r o d n i ą, ż e w g i m n a z y u m u c z y ł s i ę — h i s t o r y i p o l s k i e j.

„Czyż was panowie, którzy stoicie za „Przeglądem", a częściowo współwinowajcami jesteście obżałowanego — rumieniec wstydu nie spali? — Czy ma honor ten, który cudzego honoru — choćby obrażony był tylko corpus vile — księdzem — uszanować nie potrafi? Dotąd piszący satysfakcyi żadnej od przylądowego(?) sykofanty nie odebrał."

Chcesz satysfakcyi mości wikary? Owszem! Posłuchaj:

„Fałszować tendencyjnie opinje przeciwnika swojego i mianować denuncyantem uczciwego obrońcę niewinnie uwięzionej młodzieży — to postępek niegodny człowieka honoru, to plama, która tem jaskrawiej odbija na tle kapłaństwa, — na białej komży sługi Kościoła. — Oto jedyna satysfakcya, który „przylądowy sykofanta" tobie, mości wikary, ofiarować może.

A ten fałsz, krzyczący, który piętnuję słowem najgłębszej pogardy, jest sygnaturą całego artykułu ks. Laubitza. Pobity na wszystkich punktach chwyta się inowrocławski wikary rozmyślnego kłamstwa jako ostatniej deski ratunku. Jest to broń desperata, który licząc nie bez pewnej słuszności na to, że większość czytelników „Kuryera" nie czytuje artykułów „Przeglądu", podsuwa przeciwnikom swoim twierdzenia łatwe do protestu, lecz nie istniejące w żadnym z artykułów naszych. Ksiądz Laubitz walczy przeciw własnym fikcyom i siadłszy na ruinach krzyczy z Kserksesową pychą: Zabiłem „Przegląd Poznański". Któż to z nas, mości wikary, powiedział, że w kwestyach sztuki tylko fachowemu artyście głos zabierać wolno? My nikomu, nawet kujawskiemu mędrcowi, nie odmawiamy prawa dyskusyi, a walczymy jedynie przeciw twierdzeniu, że w kwestyach architektury kościelnej nie architekt, lecz ksiądz „m a g ł o s d e c y d u j ą c y". I nie mamy nic przeciw temu, mości wikary, byś z czytelnikami „Kuryera" dzielił się produktami artystycznego dyletantyzmu, ale protestować musimy przeciw tej pysze niedorostków umysłowych, która program fachowego architekta, złożony w krótkim i ogólnikowym artykule, n i e z n a j ą c j e g o s z k i c ó w i d a l s z y c h p o m y s ł ó w w c i e l e n i a, uznaje z góry za „niewykonalny" i artystycznie chybiony. Ks. Laubitz powołując się z dumą na swoje półtoraroczne studya architektoniczne robi wrażenie młodego studenta medycyny, który poznawszy zaledwie budowę ciała ludzkiego, rozprawia dumnie o terapii raka lub t a b e s d o r s a l i s.

Niech sobie wikary inowrocławski deklamuje o pięknościach romańskiego tumu w Bambergu i Moguncyi, o czystej gotyce paryzkiego „Notredame" lub nieskażonym renesansie „Palazzo Strozzi", — jeżeli w swoich „licznych i dalekich podróżach"(?) potrącił o te zabytki sztuki i posiada dość artyzmu by piękność ich odczuwać i pojąć stylowość, — ale w rozwiązaniu zadań architektonicznych, — w sprawie trudnego połączenia starych ruin z nową świątynią „d e c y d u j ą c ą" kompetencyę przyznajemy jedynie fachowemu architektowi.

Dyrektywa lajków w tworzeniu przedmiotów sztuki wydaje często przedziwne owoce.

— mówiła kobieta, wysuwając się nieśmiało z po za drzwi.

Brechunow splunął zamiast odpowiedzi.

— Wszak z pieniądzmi pojedziesz — nalegała dalej żona żałośnym tonem — i pogoda niepewna. Weź Nikitę, proszę cię!

— A cóż to, może drogi nie znam, abym przewodnika potrzebował? — odparł Brechunow z właściwem sobie wydęciem ust, z jakiem przemawiał, zawierając układy o kupno lub sprzedaż i rozkoszując się widocznie dźwiękiem własnych słów.

— Weź, na Boga cię zaklinam, weź!

— Eh, przyczepiła się baba, jak liść czepia się w łaźni spoconego ciała!

— Co do mnie, gospodarzu, chętnie pojadę z wami — wmięszał się z uprzejmym uśmiechem Nikita, — byle tylko o koniach tu pamiętano, nim wrócimy — dodał, zwracając się do gospodyni.

— Sama dopilnuję, aby je nakarmiono — zapewniła gospodyni — Semena poszlę.

— Więc jakże będzie: mam jechać, czy zostać? — pytał Nikita.

— Wypadnie chyba usłuchać starej. Pójdźże ubrać się cieplej, jeżeli masz jechać — odparł Brechunow, uśmiechając się znowu i mruganiem oka, wskazując na rozpruty pod pachami i na plecach, u dołu wystrzępiony w frenzle, brudny i wymięty kożuch Nikity, który przechodził najrozmaitsze koleje losu.

— Hej, bracie, bywaj tu konia przytrzymać! — zawołał Nikita na męża kucharki, zwracając się w stronę podwórza.

— Ja sam, ja! — zawołało dziecko, wyjmując z kieszeni zziębnięte, zaczerwienione rączęta i uchwyciło pospiesznie namarzłe skórzane lejce.

— A nie gmeraj się tam, zbytecznie strojąc się w godowe szaty, żwawiej! — zawołał Brechunow, wyszczerzając do Nikity zęby.

— W mgnieniu oka gotów będę gospodarzu! — odparł Nikita i szybko migając staremi skórą obszytemi walonkami, wbiegł na podwórze, a z tamtąd do izby czeladniej.

— Dalej Ireno, kaftan mi z pieca ściągnij, bo z gospodarzem jadę — mówił, wpadając do izby i sięgając po pas, zawieszony na kołku.

Kucharka, która po drzemce poobiedniej nastawiała samowar dla męża, spotkała Nikitę z wesołą twarzą i porwana jego pośpiechem zakręciła się po izbie równie szybko, jak on: wydostała lichy, wytarty jego kaftan, który suszył się na piecu, wytrzepywała go z kurzu, wygładzała ręką.

— To dopiero nacieszyć się będziesz mogła do syta z twoim! — zauważył zwracając się do kucharki Nikita, który przez szczerą dla ludzi życzliwość starał się zawsze zawiązać rozmowę, gdy zostawał z kim sam na sam, poczem zarzucił na kożuszek wąski, znoszony pas, wciągnął głębiej jeszcze i tak zapadły brzuch i mocno się ścisnął.

— Dobrze, tak — mówił Nikita, zwracając się już nie do kucharki, ale do pasa, którego końce starannie zasuwał — teraz nie rozwiążesz mi się z pewnością — i podniósłszy kilkakrotnie ramiona, aby ręce mogły się swobodnie w rękawach poruszać, wdział kaftan, podciągnął go na plecach, w pachach, aby nie być krępowanym w ruchach i sięgnął na półkę po rękawice.

— No, teraz już całkiem gotów jestem.

— A butów innych nie weźmiesz? — zapytała kucharka — te zgoła kiepskie.

Nikita przystanął, jak gdyby teraz sobie przypomniał.

— Dobrzeby było... ale zresztą, obejdę się i bez nich, niedaleka droga!

— I wybiegł na podwórze.

— A nie będzie ci zimno, przyjacielu? — zapytała gospodyni, gdy parobek zbliżył się do sani.

— Zimno! ale gdzież tam! — odparł Nikita, układając słomę w ten sposób, aby wsunąć pod nią nogi i chowając bat, jako zgoła niepotrzebny na dobrego konia.

Brechunow siedział już w saniach, wypełniając niemal szczelnie tylną, wygiętą ich część osobą swoją, ubraną w dwa futra i natychmiast ruszył z miejsca. Nikita wskoczył do biegnących już sanek, przysiadł się z lewej strony i spuścił jedną nogę na zewnątrz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomniałem już w jednym z dawniejszych artykułów głośną restauracyę stal w krakowskim kościele P. Maryi, wykonaną według recepty kapłana — dyletanta, a dziś opowiem ks. Laubitzowi ciekawą anegdotkę z helleńskich czasów.

Fidyasz czy Praksyteles, — nie pomnę dokładnie nazwiska, — wystawił szkic posągu modelowany w glinie i zasięgał zdania swych współobywateli. Przychodzili różni dyletanci z artystycznych Aten i uznali szkic za chybiony doszczętnie, łącząc z krytyką przyjacielskie rady. Mistrz stosownie do wskazówek poprawiał swe dzieło, a po pewnym czasie sprosił znów współziomków i odsłonił wykończony posąg. Zaledwie spadła zasłona, rozległ się przerażony okrzyk tłumu: „Potwór! straszydło“. W tej samej chwili artysta zerwał drugą zasłonę, a widzowie uklękli w zachwycie przed nowem arcydziełem.

— Ten pierwszy — rzekł Fidyasz — to posąg wykonany według waszych wskazówek, — ten drugi to moje własne dzieło, wcielenie pierwotnego szkicu!

Greccy dyletanci — którym przecież muzy czulej nad kolebką śpiewały niż kujawskim wikaryuszom — nie odgadli w szkicu arcydzieła i rzucili nań kamieniem potępienia, — ks. Laubitz jednak poczuwa się do kompetencyi wydawania sądu o projekcie architektonicznym, którego nawet w szkicu nie oglądał, bo profesor Rakowicz ogłosił zaledwie myśli programowe w sprawie rozbudowania ruiny.

To też bądźmy szczerzy, mości wikary. Ty sam nie wierzysz w opinje swoje, a pragniesz jedynie dla tego zabić projekt p. Rakowicza, aby nowy kościół stanął w najkrótszym czasie bez względu na piękną ruinę — Kopciuszka, skazaną w obecnym stanie prędzej czy później na zupełne zniszczenie. Nie będąc fachowym architektem i nie znając analogicznych przykładów, które na uprawdopodobnienie spornego projektu przytoczono, nie mogę rozstrzygać z pretensyonalną stanowczością, o ile program Prof. R a k o w i c z a jest „wykonalnym“, praktycznym i artystycznie doskonałym, ale gdy przeciw rutynowanemu architektowi występuje łajek, przeciw p r o j e k t o m o p a r t y m n a a n a l o g j a c h z d z i e d z i n y b u d o w n i c t w a gołosłowny protest, to musiałbym być chyba bigotką, dla której każdy ksiądz jest wszechmądrością, aby uchylić czoła przed inowrocławskim wikarym.

Być może, że za taką nauczkę ks. Laubitz po raz wtóry zapożyczy się od kucharki swojej i pośle mnie łaskawie „w duraki“ opowiadając przytem o „woniach pewnych zwierzątek“, „sierdzeniach“, „bizunach“ i „wkiwnięciach“ — a l l r i g h t! to pisze przecież estetyk kujawski, który ludziom jako siódmą prawdę do wierzenia podaje, że kocha piękno i duszę ma artystyczną.

E s t e t y k a i k s. L a u b i t z!

I może znowu nabije kapłan katolicki Kuryerowe armaty kulami oszczerstw, krzycząc na całe gardło: Denuncyant! sykofanta! — a l l r i g h t, to pisze przecież sługa Chrystusowy, stróż chrześciańskiej etyki.

E t y k a i k s. L a u b i t z!

I może raz jeszcze opowie nam mędrzec inowrocławski cudowne legendy o swoich podróżach i głębokich studyach artystycznych, — może nam znowu każe wierzyć na słowo kapłańskie, że w programie pana Rakowicza nie ma ani atomu zdrowego sensu, — może wreszcie powtórnie ciśnie nam w oczy rakietą frazesów i banalnych ogólników śpiewając głosem namaszczonym, że to słońce prawdy roztacza nad światem, — a l l r i g h t, toż to mówi exarchitekt i uczony teolog.

N a u k a i k s. L a u b i t z!

Jestem przygotowany na wszystko, bo przekonały mnie artykuły mędrca-wikaryusza, że kujawskie s o l a n k i nie odstąpiły mu ani szczypty s o l i, ale za to rynsztoki inowrocławskie ofiarowały mu błoto swoje na usługi.

Niechaj korzysta!

Dr. Władysław Rabski.

Wiadomości szląskie.

I.

Szlązk od czasu jak zawrzała tutaj na dobre walka narodowościowa zwrócił na siebie uwagę nietylko interesowanych w tem Niemców ale i wszystkich Polaków, obserwujących znaki życia narodowego wśród prostego ludu polskiego. Szersze koła publiczności polskiej wprawdzie nie wiedzą jeszcze nic o tej nowo odkrytej ziemi polskiej, i niejedna wielmożna i wiele Jaśnie Wielmożnych znają Szlązk li tylko jako krainę niemiecką. Jest jednakowoż nadzieja, iż się to zmieni w przyszłości na lepsze, gdyż dzienniki i pisma peryodyczne coraz częściej przynoszą nam korespondencye z tej zapomnianej i zaniedbancj ziemi; wydaje się nawet, iż prasa polska z szczególnem upodobaniem zamieszcza wszystkie wiadomości o Szlązku. Niezawodnie opłaciłoby się naszym etnografom, lingwistom i historykom poświęcić czas i siły tej staropolskiej dzielnicy, szlązkiej ziemi, szlązkiemu ludowi, jego obyczajom, jego mowie i jego przeszłości. W miarę jak znawcy i ludzie dobrej woli i prawdziwego wykształcenia wielkie mogliby wyświadczyć przysługi całej Polsce, szczególniej zaś Szlązkowi, usuwając pokłady mgły i ciemności, zalegające ziemię szlązką, tak z drugiej strony mogą płytkie umysły i ludzie powierzchownego wykształcenia, gdy się niepowołaną ręką dotykają sprawy, na wielkie szkody narazić ten „kraj odrodzenia“. Przyznać bowiem trzeba, iż Szlązk ma bardzo zawikłaną przeszłość i pod względem narodowym przechodził w ciągu czasu najrozmaitsze koleje, ulegał różnorodnym wpływom i wskutek tego posiada dziś stosunki niewyraźne i niejasne. Trzeba się w zawikłane sytuacye długo wpatrywać zanim można sobie wyrobić o nich jasne pojęcia, ale rezultatem sumiennych badań będzie zawsze przekonanie, że tam na odwiecznie polskiej ziemi mieszka czysto polski lud, mówiący zupełnie czysto polskim językiem, którego przed nawałem niemczyzny bronić trzeba. Wskutek trudności położenia i splątanych stosunków mamy właśnie na Szlązku bardzo wiele ludzi, którzy, lubo ukończyli wyższe szkoły, z braku wiadomości w historyi, językoznawstwie i etnografii nie mogą pojąć sytuacyi narodowościowych i odmawiają idei polsko-narodowej wszelkiego u nas uprawnienia. Nie ulega wątpliwości, że przedmiotowe, trzeźwe traktowanie rzeczy przez ludzi fachowych przyczyniłoby się do wyrobienia jasnych pojęć i tem samem do umotywowania idei narodowej i do ugruntowania narodowych naszych dążności. W tym względzie potrzebuje bardzo polska inteligencya na Szlązku poparcia z Krakowa lub Poznania, gdyż sama w sobie jest za słabą, liczba jej za szczupłą i warunki życia niekorzystne. Tymczasem o tem dziś mowy nie ma; odczuwamy tylko przypływ innego rodzaju ludzi, którzy idąc za chlebem na Szlązk, czują się powołanymi do spełniania misyi narodowej. Oczywiście nie można jeszcze upatrywać w tem nic złego, gdyby przejęci sami szczerą miłością ojczyzny zaszczepiali ją wśród znajomych lub w towarzystwach, ale skoro przestaną „patrzeć swego kopyta“ i zaczną majaczyć o wpływie na sprawy publiczne wtenczas mimo woli mogą zabagnić stosunki i zatamować prawidłowy rozwój odrodzenia. Skoro zaś sprawa nasza narodowa nabędzie dużo takich niezręcznych przedstawicieli i pionierów wtenczas straci niejednego poważniejszego zastępcę i ucierpi na tem niemało. Na tem miejscu niechaj raczą nasze pisma szczerze polskie przyjąć dobrą radę, aby nie otwierać zbyt szeroko łamów swoich owym za gorąco kąpanym zapaleńcom miotającym ubliżające podejrzenia na pisma trzeźwe w rodzaju „Kuryera Górnoszlązkiego“ (?! Przyp. Red.) Choć bowiem pismo to z innych zupełnie powstało pobudek, to do obozu jego wstąpili ludzie, którym bynajmniej nie można zarzucać braku zrozumienia idei narodowej, albo braku poczucia narodowego. (*Faktem jest, że „Kuryera Górnoszlązkiego“ na to tylko założono, aby sprawę narodową, rozwijającą się w naturalnym, najprostszym kierunku zatrzymać na krętych, niewyraźnych ścieżkach. Czy „nowym siłom“ „Kuryera“ uda się na inne tory go sprowadzić, o tem dopiero przyszłość rozstrzygnie. My na razie sceptycyzmu naszego się nie wyrzekamy. Przyp. Red.*) Przeciwnie będąc Polakami z zasady, ale zapatrując się właśnie poważnie na sprawę polską chcieli się wydobyć z towarzystwa niedorostków duchowych, którzy w swej zuchwałości postąpili tak daleko, że chcieli kierować sprawami publicznemi. (*Z jakiego towarzystwa? Przecież chodziło jedynie o polskich kandydatów przy wyborach i z tego tylko powodu nastąpił rozłam i rozdwojenie z polskiemi gazetami. Gdzie Szan. korespondent znalazł owych dominujących „niedorostków duchowych“, tego domyśleć się nie możemy. Wiemy, że wyłącznie pisma polskie kierowały, mianowicie w czasie wyborów, decydująco sprawami publicznemi, i to z najlepszym skutkiem dla żywiołu polskiego, z wyjątkiem wyboru hr. Ballestroema. Przyp. Red.*) Cały rozwój naszego życia narodowego w przyszłości zależy jedynie od tego, jak inteligencya szlązka będzie pojmowała ideę narodową, dla tego koniecznie potrzeba w przekonywający sposób rozumnie do tejże inteligencyi przemawiać i w szerszych jej kołach rozbudzać najprzód zamiłowanie do polskiego języka i literatury, a następnie jej dowieść, iż obowiązkiem każdego wykształconego Szlązaka polskiej narodowości jest staranie się o materyalne i moralne podniesienie ludu polskiego, że moralny rozwój jego idzie ręka w rękę z postępem oświaty narodowej, że poczucie narodowe jest logicznym wynikiem podniesienia poziomu oświaty, że każdy Szlązak musi się przyznać do jakiejś narodowości, albo niemieckiej, albo polskiej, albo też innej, ale absurdem jest, co wielu na seryo śmie twierdzić, jakoby szlązacy nie byli wprawdzie Niemcami, ale też z resztą narodu polskiego nie mieli nic wspólnego.

Ks. Jacek Kamieński.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, 10 Kwietnia 1895.

Wybory do rady miejskiej. — Ferye Parlamentu i Reforma wyborcza. — Jahres-Austellung w Künstlerhauzie.

Ostatni tydzień, zakończył się fatalną porażką wiedeńskich liberałów, czyli partyi semickiej. Przy wyborach do Rady miejskiej, stracili oni na korzyść antysemitów 16 mandatów, nie zyskawszy ani jednego dla siebie. Partya antysemitów, względnie chrześciańsko-socyalna, zdobywszy tę szesnastkę, występuje dzisiaj, jeżeli nie w większości, to w równej liczbie z rządzącą, i dąży stanowczo do zwyżki, aby wybrać burmistrzem swego przewódcę Luegera, posła na Sejm krajowy, do Rady państwa etc. Początkowo proponowano „koalicyą“ radzców miejskich, którą jednak antysemici stanowczo odrzucili z hasłem: „będziemy czekać!“ Pozycya, w jakiej obecnie znajdują się liberalni, równa się fortecy oblężonej nieprzyjacielem o równej sile i liczbie. Dzień i noc, trzeba jej być na straży, aby niespodziewany odeprzeć atak. Dobrze broniona forteca, może się długi czas ostać, ale w końcu, jak strategiczne uczy doświadczenie, musi uledz, jeżeli nie otrzyma z zewnątrz pomocy. Pierwszy atak antysemitów zwróci się przeciw vice-burmistrzowi Dr. Richterowi, który choć chrześcianin i katolik, ogłosił się w swoim czasie bezwyznaniowym dla zawarcia małżeństwa z żydówką. Od tego czasu jest w objęciach i usługach żydowskiej partyi liberalnej, a człowiek to bardzo zdolny i sympatyczny, w nim też ogromną nadzieję pokładają i bronić go będą do ostateczności. Dzienniki liberalne, nawołują do obrony i radzą zawarcie sojuszu z partyą postępową i „dzikimi, których jest 13stu, a równocześnie radzą, aby wszystkiemi możliwemi sposobami przeszkodzić złączeniu się ich z antysemitami, chociażby nawet, do „materyalnych ustępstw,“ czyli po prostu mówiąc do kupienia tych głosów się posunąć.

W Parlamencie zaczęły się ferye wielkanocne. Odpoczynek czternastodniowy posłów? Po czem? Po tem chyba, że sami o n i c z e m mówili, albo męczyli się, słuchając innych? Re-

forma wyborcza, dotąd nie postąpiła ani kroku dalej. Walki o swoje principia dawno już zaprzestali, — oręż przytępił się i zardzewiał, a koalicya doszła stagnacyi, równającej się grobowej ciszy, bez najlżejszego wietrzyka jakiejś politycznej myśli. Posłowie koalicyjni odpoczywają. Prawdopodobnie nie użyją oni tego czasu, aby zetknąć się ze swoimi wyborcami i dowiedzieć się od nich, jak bardzo są... niekochani? Po Wielkiejnocy zjadą się znowu odświeżeni fizycznie, ale umysłowo w tym samym stanie ospałości co dzisiaj, witając się serdecznie na ławkach swej wielkości i sławy.

W dniu pierwszym feryi, poseł Dipauli, wystąpił z subkomitetu układającego nowe ustawy dla Reformy wyborczej. Narobiło to wrzawy, ponieważ poseł nie mógł publicznie ogłosić powodów swojego wystąpienia, a to dla tego, że subkomitet tajemnicą osłania narady swoje. Dipauli należy do partyi hr. Hohenwarta, i stawiał podobno takie wnioski, które musiałyby w dalszym ciągu obrad doprowadzić do upadku reformy wyborczej i reformy podatkowej. Przypuszczalne bowiem głosowanie za jego wnioskiem, przedstawiałoby taki rezultat: Z baronem Dipauli byłoby 35 konserwatywnych i 1 staroczech, którzy jego wniosek podpisali.

Do nich przyłączyłoby się: 38 Młodeczechów, 5 opozycyjnych Kroatów, 8 Morawian, 17 posłów partyi niemieckiej narodowej, 11 antysemitów, 7. opoz. Słoweńców, 5 „dzikich“ konserwatystów, 1 Rusin (Romańczuk), Pernerstorfer i Kronawetter, 3 innych dzikich, czyli razem 134 głosów. Ponieważ 4 mandaty nie są obsadzone, zostałoby głosów dla większości zaledwie 215, podczas, kiedy potrzebne dwie trzecie, wynosić muszą 233 głosów! Brakuje więc do prawnej większości ośmnaście.

Z tego zestawienia okazuje się aż nadto jasno, że szanse takiej reformy wyborczej, jaką chce stworzyć subkomitet, są rozpaczliwie smutne!...

W dniu 30go Marca, otworzono w obecności cesarza doroczną wystawę sztuki w „Künstlerhausie.“ Przedstawia się ona dość miernie, pomimo bardzo interesujących i dobrych dzieł. Z polskich artystów bierze w niej udział spora garść, bo aż piętnastu. W osobnym fejletonie, otrzymacie zapewne sprawozdanie z ich robót, na razie zaznaczam, że najlepsze prawie prace należą do Polaków. Znakomite portrety dali Horowitz i Pochwalski, obok których stoi na równi artystycznych zalet studyum Olgi Boznańskiej, Szymanowskiego „Modlitwa“ obraz o szerokim zakroju i olbrzymiem płótnie, wzbudza podziw jednostajnością motywu, który jak jeden wielki okrzyk do Boga z całego tłumu figur się wznosi. Obraz ten bardzo źle zawieszony, nie wszystkim się podoba, ponieważ nie wszyscy rozumią sposób modlenia się polskiego wieśniaka. Druga „Modlitwa na stepie“ Brandta, więcej znajduje zwolenników, chociaż recenzenci wytykają zimny ton ogólny i razi ich spokój, jaki nie odpowiada talentowi i dotychczasowym tematom wielkiego malarza. Niezły portret wystawił Augustynowicz, bardzo lichy i słabo malowany Styka, aranżer racławickiej panoramy we Lwowie. Pan Styka niepowinien był pracy swojej posyłać na wystawę wiedeńską, tem więcej, że przedstawia ona portret tak znanego z energii i działalności inicyatora i dyrektora wystawy lwowskiej Marchwickiego.

Doskonałe obrazki prezentują Wierusz-Kowalski, Fałat, Damazy-Kotowski i innych kilku, o których później. Z rzeźbiarzy jeden Lewandowski, obecnie stale mieszkający w Wiedniu, ma na wystawie portretowe biusty: tutejszej uroczej primaballeriny Ireny Sironi, posła hr. Leona Pinińskiego i kolosalnej wielkości hermę z biustem śp. posła Kazimierza Grocholskiego, wykonanym na zamówienie ministerium spraw wewnętrznych. Herma ta zwróciła uwagę cesarza, który chwalił nadzwyczajne podobieństwo i monumentalną robotę, a rozpytując się o artystę, kazał sobie Lewandowskiego przedstawić, winszując mu tej pracy. Biust Grocholskiego będzie ustawiony w hali parlamentu austryackiego, gdzie stwarzają obecnie Walhallę dla najwybitniejszych zmarłych posłów Rady państwa.

W końcu donoszę Wam, że aresztowano tutaj przedwczoraj pewne indywiduum, kradzące po kawiarniach paltoty. Nazwał się ten pan „de Ledóchowski i opowiedział historye o Syberyi, gdzie miał być inżynierem, zkąd uciekł przed prześladowaniem Rosyi, kradł z nędzy itd. Obecnie się pokazuje jednak, że nie jest on Polakiem i Ledóchowskim się nie nazywa. Na razie przyznał się do nazwiska „Kniesiakow“ i rosyjskiego pochodzenia, a wczoraj chciał sobie życie odebrać przez uderzenie głową o mur. Kto on jest rzeczywiście, niewiadomo — dobrze przynajmniej, że nie jest Polakiem.

Xi.

LISTY

z Krakowskiego Przedmieścia

(Bronisław Chrzanowski. Smutny pogrzeb. Cichy dramat. Obrazy Podkowińskiego. Bójka literatów. W obronie pokrzywdzonych).

I.

Od smutnego wspomnienia muszę rozpocząć po długiej przerwie tę nową seryę listów.

Przed tygodniem zaledwie pochowaliśmy jednego z kolegów, który nierównie więcej obiecywał, niż mógł dać, przy krótkiem, pełnem niepowodzeń i zawodów życiu.

Bronisław Chrzanowski zmarł, mając zaledwie lat 27, w szpitalu Dzieciątka Jezus, po długiem cierpieniu kręgosłupa i dwóch próbach niepomyślnych operacyjnego leczenia. Trumnę jego odprowadzało bardzo a bardzo nieliczne grono kolegów-literatów i kilkadziesiąt osób z młodzieży, którzy znali jego prace i cenili je; na trumnie trzy skromne wianki: jeden od rodziny, drugi od przyjaciół, trzeci z pąsowemi wstążkami „od współtowarzyszy w pracy i idei.“

Skromne było życie i skromny pogrzeb tego pracownika, który przez całe życie walczył ciężko z biedą i z niechęcią ludzką, który żył tylko dla idei, dla niej wyrzekając się wszystkiego. I przyroda była w harmonii z tą obojętnością ludzką... Kaszka lodowata padała z wiatrem na odkryte głowy nielicznego grona, które otaczało trumnę na Powązkach, gdy ją spuszczano w jamę grobową... I tylko rozpaczliwe szlochania matki i sióstr, a smutne rozmyślania kolegów służyły za mowę żałobną.

„Za całą sławę — krótki płacz kobiecy
„I długie nocne rodaków rozmowy.“

„Społeczeństwo“, tj. ci, którzy mają się za przedstawicieli społeczeństwa, obojętni są dla tych, którzy nie umieją kłaniać się i krygować, błyszczeć kłamaną oryginalnością, dogadzać silnym i wybijać się przy pomocy łokci... Jakżeż inaczej wyglądał by pogrzeb bogatego piwowara. Na pogrzebie Chrzanowskiego nie było nawet redaktorów pism, którym oddał swe siły...

Br. Chrzanowski otrzymał wykształcenie w korpusie kadetów i szkole handlowej. Nie czując jednak powołania do handlu oddawał się pracy umysłowej, czytywał ogromnie wiele i próbował pisać bardzo wcześnie. Przez długi czas nie udało mu się umieścić nic ze swoich sprawozdań; wreszcie, dzięki życzliwości jednego z kolegów, wydrukowano jego pierwsze próby krytyczne; odtąd już nieboszczyk widział, że marzenia jego są niejako uprawnione; z podwójną energią zabrał się do pracy. Całemi dniami siadywał w Czytelni Głównej (przy uniwersytecie), gdzie go poznałem, lub w Czytelni naukowej.

Zagłębiony w pracy, więcej niż ubogo ubrany, często całemi dniami nic nie jedząc prócz szklanki herbaty z bułką, głodzący się w milczeniu, dopóki ktoś z kolegów nie zauważył tego i w sposób delikatny pod jakimś pozorem nie zaciągnął go do siebie na obiad, Chrzanowski żył wielką myślą przyszłości; dla niej wyrzekł się nietylko dostatku, który tak łatwo mają głupcy, umiejący się stosować do okoliczności, ale nawet najniezbędniejszych potrzeb. Powiadają że miał zamożnych krewnych, ale nigdy nie udał się do nich o pomoc a nie udawał się nawet do najbliższych przyjaciół. Praca literacka rwała się co chwila: tu redaktor odmówił mu dalszej pracy dla tego, że pochwalił utwór umieszczony w niemiłem dla niego piśmie; w drugiem piśmie musiał przestać pisywać dla tego, że nie chciał chwalić i ganić dzieł według sympatyi i antypatyi redaktora... Jakiś czas uśmiechał mu się los; miał zupełną swobodę i wiele miejsca w „Niwie“, którą kierował przez parę miesięcy. Tu rozwija się swobodniej już talent jego; umieszcza on większe studyum p. t. „Współczesna powieść polska“, w którem ocenia działalność pisarzy utalentowanych i ideowych jak Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Ostoja, Dąbrowski i t. d. w przeciwstawieniu do bezidejowej falangi powieściopisarzy z Kuryerków i pism illustrowanych, fabrykującej plotkarsko-paszkwilowe powieści dla dogodzenia gustom publiczności salonowej, lubującej się w karykaturach swoich znajomych a nie poznającej siebie. Dalej ogłosił: Ciche dramata — rozbiór powieści Ostoi — i rozprawę p. t. Histerya w beletrystyce (Gabryela Zapolska). Przed tem jeszcze zwróciły uwagę studya jego w „Głosie“ p. t. Mistycyzm ludowy (z powodu „Chama„ Orzeszkowej) i Pesymizm w literaturze (z powodu Jana Choińskiego „Pozytywizm Warszawski“). Prócz tego umieszczał nieboszczyk prace swoje w Przeglądzie tygodniowym“ i w „Prawdzie“. Rozbiór „Śmierci“ Dąbrowskiego, napisany z wielkiem poczuciem i zrozumieniem, a umieszczony w tym ostatniem piśmie, będąc przesłany tłumaczowi w przekładzie niemieckim, stał się przyczyną przekładu na język niemiecki utworu Dąbrowskiego i został wydrukowany we wstępie do niemieckiego wydania,

Jednocześnie z powodzeniem występowała i zawiść; ktoś kopnął go w „Roli“ pod pseudonimem, a frazes puszczony psuł opinię wśród ogółu, gdzie mało kto czyta, mniej jeszcze umie oceniać a wszyscy chcą sądzić i krytykować na kredkę...

Polepszenie względne losu, które towarzyszyło rozwojowi talentu, nie zapobiegło chorobie, która oddawna gnieździła się w znękanym organiźmie. Gdy cenzor ciągłem prześladowaniem i pogróżką zgnębienia „Niwy“ zmusił wydawcę do sprzedania jej spekulantowi, ś. p. Bronisław Chrzanowski został boleśnie dotknięty tą stratą jedynego, jakie mu zostawało, swobodnego pola do twórczości literackiej.

Choroba rozwinęła się mimo starań i troskliwości rodziny i kolegów w krótkim czasie dokonał życia w szpitalu.

Br. Chrzanowski zapowiadał się na krytyka zupełnie niepospolitego i przytem w takim rodzaju, którego u nas dotąd prawie nie uprawiano. Odznaczając się wielką trafnością sądu estetycznego, subtelnością pojmowania psychologicznego i ciepłem, z jakiem traktował dzieła, stosował on do nich zawsze miarę ideową, a tem się różnił wybitnie z jednej strony od krytyków filigranowych starej szkoły, jakich nie mało, i od młodych ludzi, którzy ograniczają się do streszczenia utworu i rzucenia z wysokości swego krytycyzmu tam „dobrze“ tu „źle“, z drugiej od tych, którzy do utworów literackich stosują miarę jakiejś świeżo ukutej w Paryżu doktrynki, tendencyjki, szkółki, innemi słowy nie mają nic swego.

Jako próbkę jego pióra pozwolę sobie przytoczyć kilka słów, charakteryzujących twórczość Zapolskiej:

„Zapolska nadto wiele posiada gorączki dramatycznej, za dużo wnosi patosu do obrazków illustrujących trywialne strony bytu gatunku ludzkiego. Pospolite zjawiska życiowe nie zawsze można spowijać czernią chmur, pomrukujących burzą, ozdabiać barwami żałobnemi. Pazury konieczności nie zawsze są groźne i majestatyczne, są jednak nieuniknione i bezlitośne. Renan powiedział niegdyś: „l'âge mûr méprise avec tolérance“. Otóż na taką dojrzałą możnowładczą pogardę Zapolska nigdy zdobyć się nie może i nie chce. Pogarda, jaką żywi względem brudów i szpetoty moralnej, by-

najmniej nie jest dyskretną, sama sobie wystarczającą. Wszelkie niepożądane objawy jątrzą ją gwałtownie i rozstrajają chorobliwie. Utwory jej udzielają nam całego mrowiska bólów i wstrętów. Pęk ogniów mocnych z trzaskiem wylata z jej dzieł i oświetla widnokrąg, ponuro sklepiony nad życiem tegoczesnem. Smutno nam się robi i boleśnie. Z. nie potrafi być niemym widzem w obec bezrządu moralnego, toczącego nasze życie. Nie nuci pieśni tkliwych, nie rozbrzmiewa też godowemi. Prawie nigdy nie pojawia się na jej ustach uśmiech dobroci i pobłażliwości. Płochość myśli i uczuć jest rzeczą zgoła nie pasującą do jej temperamentu. Posiada niezwykłą czujność i odwagę względem wszystkich nienormalnych zjawisk. Szczerość jej i odwaga w wypowiadaniu przykrych rzeczy są niepospolite“. itd.

Jakże ta treściwa i zbita charakterystyka różni się od wodnistej frazeologii, tylu naszych krytyków na zawołanie!

Gdy mowa o świeżej mogile, niech mi wolno wspomnieć słów kilka o nieco dawniejszej, ale jeszcze nie zapomnianej stracie sztuki naszej.

W „Towarzystwie zachęty“ otwarta jest dotąd wystawa pośmiertna dzieł Podkowińskiego, młodo zmarłego na suchoty malarza. Niewielki ten zbiór robi smutne a nawet przykre wrażenie; znać tu talent zupełnie spaczony przez doktrynerstwo i pozę na oryginalność, której brakło twórcy. Nieboszczyk wysilał się na pomysły, dziwacznością i szpetnością prześcigające się nawzajem, zdobył sobie rozgłos wśród kółka ludzi o słabem poczuciu estetycznem, uganiających się za nowinkami zwłaszcza charakteru dekadenckiego i za jaskrawością tematu, ale nie mógł znaleźć uznania ze strony poważniejszej krytyki artystycznej. Największy z obrazów jego „Szał“, przedstawiający nagą kobietę obezwładnioną na grzbiecie spienionego bucefała, dziwaczny w pomyśle, niepoprawny w wykonaniu narobił w swoim czasie hałasu nie tyle zuchwalstwem treści, ile przez tę okoliczność, iż sam autor pociął go na kawałki, gdy był już od paru tygodni wystawiony. Dziś figuruje odnowiony na wystawie.

Przyglądałem się twarzom widzów, którzy gromadnie go oglądali: na wszystkich twarzach czytałem wyraz niechęci... Zapewne są krytycy, którzy taki rezultat uważają za tryumf artyzmu. Ja się na podobne zdanie nie piszę. Po obu stronach tego wielkiego obrazu dają się widzieć dwa bardzo ciemno malowane płótna, z których po dłuższem w nie wpatrywaniu się zaczynają wynurzać się postacie. Na jednym (Nokturno) widzimy przykutą do skały kobietę, strzeżoną przez wieniec wilków, których pałące oczy są pierwszą rzeczą jaką widz dostrzega w tym powszechnym mroku; na wysokiej skale, oddzielonej przepaścią od niewolnicy, stoi wędrowiec i zdaleka przygląda się widowisku. — Pomysł piękny zapewne, ale malowanie nie jasne i tak ciemne, że trudno coś o niem powiedzieć. Drugi obraz p. t. „Pogrzeb“ jest próbą uzmysłowienia na płótnie tego, co Chopin oddał w dźwiękach, a Ujejski wytłomaczył słowem. Jest to biała oświetlona mglistem światłem dziewica w trumnie; nad nią unoszą się stada kruków; obok młodzieniec pogrążony w rozpaczy i jeszcze jakieś niewyraźne kształty, jakiś zamęt i chaos cieniów, który może jest próbą odcienia w barwach stanu umysłu rozpaczającego, a może ponurych dźwięków dzwonów. Bo ta chorobliwa chęć oddania w pewnem zakroju sztuki tego co nie należy do jej zakresu, cechuje właśnie najczęściej sztuczne wysiłki oryginalności, kiedy prawdziwy talent przeciwnie lubuje się w prostocie i jasności. Dziedziną malarstwa jest plastyczność, a jej to właśnie brak obrazom Podkowińskiego; koloryt ich przytem zawsze dziwaczny i niezdrowo przesadny. Uderza to szczególniej w kilku ciałach kobiecych, które grzeszą przytem i pozą i rysunkiem. Nie powinniśmy atoli ztąd wnosić o braku talentu nieboszczyka. Nie dał on mu się rozwinąć, zmanierował go i spaczył przez hołdowanie doktrynkom, przez chęć podskoczenia wyżej niż najwyżej skaczący z francuzkich symbolistów i dekadentów. Tam gdzie nie dręczy go mania oryginalności i pozy — jak np. w ładnym obrazku, przedstawiającym, jeśli mnie pamięć nie łudzi, grę w krokieta, lub w portretach, tam maluje ładnie, daje żywe postacie, grupuje z talentem. Ale takie rzeczy wymagają pracy; obraz zaś, w którym wszystko czarne i wszystkiego trzeba się domyślać, nie wymaga żadnego opracowania szczegółów. Krótko przed śmiercią Podkowiński robił studya do większego obrazu mającego przedstawiać tanice szkieletów. Jak Marsz żałobny Szopena natchnął zdaje się „Pogrzeb“, tak „Danser Macabre“ St. Saence'a prawdopodobnie był tu pobudką. Wielka szkoda, że ten pomysł nie przyszedł do życia, gdyż studya kredkowe przedstawiające szkielety w najrozmaitszych podskokach i czaszki wytrzeszczone trupim śmiechem zapowiadały coś nader oryginalnego i pełnego fantastycznego życia.

Skoro mowa o świecie literacko-artystycznym, to niech mi wolno będzie potrącić o jeden również nie zbyt świeży wypadek, ażeby sprostować błąd, czyniący krzywdę ludziom zasługującym na szacunek. Niejeden z czytelników zapewne spotkał się przed kilku tygodniami z rzuconą przez „Kuryer Codzienny“ a powtórzoną przez inne pisma potwarzą o napaści dwóch znanych literatów z kijami na jednego — i o ciężkich plagach, które miała dostać owa ofiara gorliwości krytycznej. Otóż nie wdając się w szczegóły, które niebawem wyjaśni zapewne sąd, mogę tylko powiedzieć, na podstawie słyszanego od ludzi wiarogodnych, że to co pisze sam o sobie poszkodowany redaktor „Kuryera“ nie jest prawdą; prawda zaś tylko tyle, że dostał policzek wśród białego dnia na ulicy od kogoś, z kim pierwszy szukał zwady, a w tem szukaniu zachował się w sposób niehonorowy.

Najsmutniejszym zaś objawem, świadczącym bardzo niekorzystnie o prasie naszej, jest to, że żadne z pism, nawet to, którego karty posłużyły za pole do pierwszych wystąpień zaczepnych, nie chciało przyjąć sprostowania ani oszczerstwa początkowo wydrukowanego w „Kuryerze,“ (które było przyczyną policzka), ani kłamanej wieści o napaści z kijami, chociaż wieść ta wplątała do operacyi znanego i powszechnie cenionego człowieka, czyniąc ze świadka napastnika. Czy taki sposób szukania sprawiedliwości był jedynym pozostającym w ręku obrażonego, czy nie mogli znaleźć innego, mniej brutalnego, o tem trudno mi decydować; nie mogę zatem faktu usprawiedliwiać bezwzględnie. Oburzającem jednak jest to, że gdy potwarz hasa bezkarnie i z przesadą powtarza się we wszystkich pismach, pokrzywdzony nie ma możności, wydrukować słowa na swoje usprawiedliwienie.

Dzwon.

NA WYŁOMIE.

(Chiny i Japonja. Aljans i zebranie Niemców poznańskich. Zebranie ruchu ludowego Przeładowanie programu).

Gdyby ktoś dzisiaj zaprosił Chińczyków i Japończyków na wielką naradę w sprawie — no! dajmy na to — jakiej antieuropejskiej ustawy, przekonany jestem, że starej Azyi synowie powydzieraliby sobie z głowy kilka łokci warkoczów i zmoczyli żółte oblicza herbacianym ukropem, mimo zawartego pokoju. I gdyby dzisiaj poznańscy heroldowie polityczni zgromadzili na jednej sali zwolenników ruchu ludowego z mężami „ładu i porządku“, pod hasłem „Precz z ustawą antiprzewrotową“, to mimo sympatycznej pobudki nasi Japończycy — ludowcy i Chińczycy — „dworusy“ zabraliby się, jeżeli nie do rewolwerów, to przynajmniej do bambusów. To też biedna moja głowa, nabita rojowiskiem wspomnień ponurych, nie mogła oprzeć się przeczuciu, że więc polityczny Niemców poznańskich, — zwołany w trzecie święto wielkanocne do sali Lamberta, — zamieni się w Chiny i Japonją, a ja znowu odegram rolę korespondenta „Z teatru wojny“. Zdawało mi się bowiem, że chińska herbata uwięziona w kubku japońskim rozsadzi znienawidzone naczynie, — zdawało mi się, że konserwatywne stronnictwo ujęte w kluby wolnomyślne nie zniesie więzów krępujących i jeżeli nie rozbije zebrania, to wzorem Chińczyków odwróci się plecami do japońskiej armii. Obcem mi wprawdzie nie było, że w obec groźnego niebezpieczeństwa „przewrotowej ustawy“ zdecydowało się stronnictwo poznańskiego „Tageblattu“ zawrzeć odporne przymierze z stronnictwem „Freisinnu“, ale wiedziałem również, że cała komenda spoczywa w rękach wolnodumców, ktorych stanowisko w sprawie rządowego projektu jest nietylko radykalniejsze od przekonań prawicy, ale poniekąd na odmiennych oparte motywach. Nie wątpiłem ani chwili, że mając w rękach dzwonek prezydyalny, większość w komitecie i mówcę wiecowego o p a r e x c e l l e n c e wolnomyślnej barwie, — „Freisinn“ niemiecki nada ton całemu zebraniu, wyciskając własne piętno na tym aljansie wiecowym. Lękałem się, że Chińczycy nie zniosą takiej supremacyi japońskiej i bitwą lub ucieczką zakończą zebranie. Przeczucia jednak, z polskich wysnute przykładów, zawiodły zupełnie. Zebranie w wzorowym porządku i zgodzie zaczęło się, trwało i skończyło.

Chwilami zdawało mi się, że konserwatywne zastępy, podrażnione błyskawicami wolnodumstwa niemieckiego, sarkną i protestem cisną ku trybunie, — cisza, nikt nie przerywa. I mówca adwokat F a h l e snuje spokojnie krytykę swoją. Z ironją mówi o monarchii, z grymasem satyra prawi o religii, żąda rozszerzenia swobody konstytucyjnej, piętnuje autokratyczne tendencye państwa, zachwyca się wolnością słowa i myśli, z widoczną sympatyą cytuje dzieła rewolucyjnych pisarzy, — jednem słowem prezentuje cały program wolnomyślnych ideałów i dążeń. A konserwatyści słuchają w milczeniu i dopiero w samym końcu, gdy F a h l e mówić już przestał, zaznacza ich reprezentant stanowisko swoje.

Zazdroszczę Niemcom, — zazdroszczę im tej dojrzałości parlamentarnej i tolerancyi dla cudzych przekonań. Tam zachowawczym hufcom krew w żyłach kipiała i krzyk opozycyi cisnął się na usta, ale ludzie wykarmieni duchem konstytucyi, zmężniali w rutynie życia publicznego i oświeceni politycznie, mają szacunek dla cudzych przekonań i pojmują dobrze, że zakrzyczeć przeciwnika, a zwyciężyć go, to dwa odmienne pojęcia. A my? Przypomnijcie sobie tylko zebrania wyborcze na sali Lamberta lub w Bazarze. Gdy mówił „Postęp“, wył „Dziennik, Wielkopolanin i Kuryer“, — gdy mówił „Dziennik“ wył „Postęp“ i „Orędownik“. A wycie to rozlegało się nawet w takich chwilach, gdy elektryzujące sprawy zasadnicze znikały z widowni obrad — gdy polemizowano o kwestye czysto formalnej natury lub kłócono się „o brodę cesarza“. I nie robotnicy jedynie, sfanatyzowani palącemi artykułami dzienników, straszyli wroga amerykańskim koncertem, lecz nawet inteligencya przeciągłem „b u . . . u . . . u“ gromiła przeciwników swoich na estradzie.

Tak było jeszcze przed kilku miesiącami. Czy dzisiaj byłoby inaczej? Wątpię, — i rad jestem nawet, że dwa polskie zebrania, odbyte w sprawie ustawy przewrotowej, nie zgromadziły na jednej sali Chin i Japonii, ramię przy ramieniu. Gdyby w toku dyskusyi pojawiły się dwie rezolucye tej samej treści, lecz odmiennej formy, huczeliby jedni „lub“ a drudzy „a l b o“ jedni „i“ a drudzy „oraz“, — a gdyby nadomiar dotknięto piekącej rany komitetu, nie wiem czy wśród grzmotów i wichrów zawinęłaby łódź szczęśliwie do portu. „Ruch ludowy“ poszedł swoją drogą i nie widząc chińskich warkoczów, wysłuchał z powagą i spokojem trzech prelekcyi o historyi stronnictwa własnego, o strejkach, ringach, giełdach, zniżkach, zwyżkach, dyskontach i wniosku Kanitza, a wreszcie o ustawie przewrotowej i stanowisku posłów polskich do społeczeństwa. Trzy prelekcye! — darujcie panowie, ale mimo całego szacunku, jaki mam dla waszej pracy, erudycyi i swady oratorskiej, pragnąłbym na przyszłość mniej krasomówczych popisów, bo liczę się z psychologią i znużeniem ludu roboczego, który przez półtrzeciejgodziny słuchał stojąco tajemnic ekonomii, prawa a nawet statystyki liczbowej. Czwartkowe zebranie ruchu ludowego świad-

czyło wymownie, że kierownicy stronnictwa przystępują z uznania godną powagą i sumiennością do trudnej pracy nad polityczną oświatą niższych warstw społeczeństwa, ale lękam się, że nadmiar akademickiego materyału łatwo zniechęcić może tych prostych ludzi, nieprzyzwyczajonych do wysiłków umysłowych, a strudzonych nadto całodzienuą pracą fizyczną. Miałem wrażenie, że wszyscy mówcy panowali doskonale nad tematem, o którym przemawiali do wyborców, ale jedna szczególnie prelekcya, której autor lubował się w długich spacerach po krętych krużgankach ekonomii, nużyła brakiem ścisłości zgromadzonych słuchaczy. Dla dobra sprawy byłoby korzystniejszem układać program uboższy pod względem materyału, ale za to intenzywniejszy w wykonaniu, a mianowicie biernych słuchaczy zamieniać w czynnych aktorów. Ta armia ludowa nie powinna na przemówienia jenerałów swoich odpowiadać jedynie echem oklasków i wiwatów, lecz korzystać z prawa głosu i dyskusyi, którą niestety dla spóźnionej pory skreślono z czwartkowego zebrania. Wtedy ożywią się ciężkie, nieruchome masy i słońce politycznej oświaty rozproszy mroki przedświtu.

Bądź co bądź ten ruch ludowy złożył nowy dowód obywatelskiego rozwoju, stwierdzając liczbą swoją i karnością głębokie przywiązanie do sztandarów stronnictwa.

Ci, którzy dziś jeszcze słowem lekceważącej pogardy witają każde drgnienie nowego życia, przypominają zaiste słowa biblii: „Mają oczy, ale nie widzą, mają uszy, ale nie słyszą“.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

— Echo muzyczne (Nr. 14) na pierwszej stronnicy podaje wizerunki trzech laureatów swego konkursu, pp. Biernackiego, Maszyńskiego i Borkowskiego. Ciekawy jest artykuł wstępny, p. t. „Publiczność premjerowa“. Autor tego artykułu jest zdania, że premiery powinny być strącone ze swego decydującego stanowiska i zastąpione przedstawieniami abonamentowemi. W części belletrystycznej spotykamy powieść Junoszy: „Oficyna“ i nowelkę R. M. p. t. „Nauczycielka“. Wiadomości obfite z dziedziny sztuki, kronika i notatki artystyczne — wypełniają treść numeru.

* * *

— Dawna powieść. Napisał Agi-wdaj. Kraków. r. 1895, str. 90.

Zapóźnione echa romantyzmu błąkają się do dziś dnia jeszcze po niwie naszej poezyi. Jednym z takich utworów wzorowanym co do formy na mistrzowskim wierszu Mickiewicza jest wymieniona w nagłówku książeczka, opiewająca w gładkich co do rymu i rytmu, jedenastozgłoskowych wierszach, miłosne dzieje jakiejś zakochanej pary. Możnaby wiele mówić na ten temat, o ile tego rodzaju utwory mogą mieć uprawnienie w dzisiejszej literaturze, na jedno zawsze jednak zgodzić się wypadnie, że tkliwy sentymentalizm prawdopodobnie raz na zawsze wyrugowany został z poetyckiej dziedziny. Choć pseudonimem okryty autor, czy autorka, akcyę swej poetyckiej opowieści, oparł o tło historyczne, choć wplótł w nią demoniczną miłość cyganki, która pragnie swą palącą namiętnością oderwać bohatera od narzeczonej, pomimo to, dominującym pierwiastkiem utworu pozostaje zawsze chorobliwy, przestarzały sentymentalizm, który odejmuje książeczce aktualność i literacką wartość. „Dawna powieść“, pod względem typograficznym wydana jest bardzo wykwintnie.

* * *

— „Ateneum“. — Marzec 1894. W omawianym zeszycie „Ateneum“ zasługuje na bliższą uwagę ciekawy artykuł p. Leona Iwanickiego p. t. „Sprawy ekonomiczne“, powtarzająca się peryodycznie kronika ekonomiczna. Tym razem autor porusza myśl asocjacji rolniczych, jako jednego z ważnych środków zaradczych, do którego, zdaniem p. Iwanickiego, w blizkiej już przyszłości zwrócić się będzie trzeba, aby podniesić upadające gospodarstwo rolne. Myśl tę, rzuconą tylko, obiecuje autor w przyszłości dalej rozwinąć i sformułować.

Równie, jeżeli nie bardziej, ciekawą jest druga połowa tego artykułu, w której autor daje dość szczegółowy przegląd stowarzyszeń przemysłowych: akcyjnych, udziałowych i na wzajemności opartych, których w Królestwie Polskiem istniało w r. 1893 około stu. Nie możemy tu naturalnie powtarzać cyfr, przytoczonych w owym artykule, wyjmiemy tylko z ogólnego bilansu 72 towarzystw, opisywanych przez autora, fakt dotyczący zysków, jako najlepiej ilustrujący dla szerszej publiczności stan przemysłu w danym kraju. — Otóż czyste zyski wyniosły w r. 1893 11,545,565 rs. 56 i pół kop., t. j. jedenaście i pół procent kapitału zakładowego tych towarzystw. Jest to rezultat, którym nie może się poszczycić ani jedno z zachodnich państw europejskich.

Znany publicysta, dr. Trepka, w pięknym artykule kreśli „Ewolucyę stronnictw politycznych w Anglii“. Dobrze przedstawia autor zmiany w łonie odwiecznych partji torysów i whigów, pod wpływem nacisku idei demokratycznych i rosnących zadań społecznych, w rozwiązaniu których Anglia bodaj że [jak i pod wielu innymi względami] przodować będzie Europie.

Z innych artykułów wskażemy studyum o Rodzie p. t. „Krytyk moralista“ Przewóskiego, spory ustęp z poematu: „Bezseene noce“ K. Glińskiego i początek powieści Sewera „Biedronie“, z życia chłopskiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Niektóre pisma niemieckie i polskie zamieściły wiadomość, że niebawem pojawi się ukaz carski, nakazujący zwrócić skonfiskowane po roku 1863 dobra ziemskie dawnym ich właścicielom lub ich spadkobiercom, ale oczywiście stanie się to jedynie z temi dobrami, które nie przeszły w ręce prywatne, lecz jeszcze znajdują się w administracyi rządowej. Myśl tę powziął podobno minister rolnictwa p. Jermołow i uzyskał aprobatę monarchy. — „Köln. Ztg.“ dowiaduje się, że rząd nie zgodzi się na przyjęcie ustawy przewrotowej w tej formie, w jakiej wyszła z komisyi. — Japonia zawarła z Chinami pokój na warunkach wielce korzystnych dla siebie. — Z całych Niemiec wyemigrowało w miesiącu marcu rb. do krajów zamorskich przez porty niemieckie, Antwerpią, Rotterdam i Amsterdam razem 3036 osób. — Położenie Hiszpanii na wyspie Kubie pogorszyło się znacznie. Powstańcy wspierani przez Stany Zjednoczone Ameryki rosną w potęgę. — Silne trzęsienie ziemi dało się uczuć w Rzymie, Tryeście, Lublanie, Abazyi, Zagrzebiu, Celowcu, Gorycyi, Hradcu, Kromburgu, Ober Loitsch i Lees.

Teatr i muzyka. W środę wystawiono na scenie poznańskiej fragment dramatu Adama Mickiewicza p. t. „Konfederaci Barscy“ z uzupełnieniem Olizarowskiego. Część nie-Mickiewiczowska wywarła wrażenie ujemne. — Dziś w sobotę ukaże się po raz pierwszy na scenie naszej dramat lokalnego autora p dr. Karchowskiego p. t. „Na schyłku“. — W niedzielę rozpoczyna artystka warszawska p. Leszczyńska szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. Dotychczas zapowiedziano dwa przedstawienia z współudziałem gościa warszawskiego: „Wielki człowiek do małych interesów“ i „Wojna w czasie pokoju“. — Komisya artystyczna teatru krakowskiego nie zatwierdziła kontraktów zawartych przez dyrekcyę z głośnym Lubiczem i panią Bednarzewską. — Operetkowy personał teatru łódzkiego wyjechał na gościnne występy do Piotrkowa. — Część artystów poznańskich zamierza podobno w czasie letnich miesięcy występować w jednym z teatrzyków warszawskich. — W Galicyi zorganizował nową trupę artystyczną monologista p. Lelewicz.

Zjazdy i kongresy. W Kijowie odbędzie się zjazd właścieli lasów. — W Berlinie odbył się zjazd chirurgów. — Toczą się układy o zwołanie kongresu fotografów do Moskwy.

Wiadomości literackie. Utalentowany literat poznański p. Kazimierz Puffke, odczyta na publicznem posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk rozprawę o „Teatrze w Warszawie“. Pan Puffke pracuje również nad obszerniejszem studyum o Emilu Zoli.

Wystawy. W uzupełnieniu dawniejszych doniesień naszych zapisujemy, że w roku bieżącym odbędą się następujące wystawy: Wystawy przemysłowe w Alsfeldzie (Hesja) Glarus, Królewcu, Malborgu, Moskwie, Poznaniu, Schonebecku, Stralsundzie, Strasburgu i Cieplicaah; wystawa kucharska w Bochum; wystawa piekarska w Bruńświku; malarska w Dortmundzie, hygieny dziecięcej w Dreźnie, architektoniczna w Dusseldorfie, elektryczności w Kaiserslautern, Karlsruhe i Paryżu. Wystawa przemysłu i handlu urządzona będzie w Lubece; wystawy rolnictwa i ogrodownictwa w Charlottenburgu, Chemnitz, Dreznie, Kijowie, Lincu i Magdeburgu, wystawa maszyn rolniczych w Wiedniu. Szereg ten zamykają: wystawy sztuk pięknych w Hamburgu i Wenecji, wystawa oświetlenia gazowego w Wurzburgu, powszechna wystawa wynalazków w Monachium, wystawa fotograficzna w Zgorzelicach (Görlitz) na Szląsku i wystawa welocypedów w Medjolanie. Mnóstwo mniejszych wystaw lista powyższa pomija.

Urzędowa statystyka rosyjska. Liczba umiejących czytać w niektórych powiatach gubernii lubelskiej, jak donoszą urzędowe „Lubelskie Gubernialne Wiadomości“ tak się przedstawia: Cyfry wyłącznie dotyczą włościan, pociągniętych do służby wojskowej. W powieaie biłgorajskim w roku 1894 umiało czytać po polsku 7, po rusku 58, na ogólną liczbę 49,543 stałej ludności męskiej. Szkół w powiecie było 28. W powiecie lubelskim razem z miastem Lublinem w roku 1894 umiało czytać po polsku 74, po rusku 236 na 67,102 ludności stałej męskiej. Szkół było 29. W powiecie tomaszowskim w r. 1894 umiało czytać po rosyjsku 161, a po polsku ani jeden. Ogólna ludność męska powiatu wynosi 45,479, szkół jest 49. W powiecie „nowo-aleksandryjskim“ w roku 1894 czytało po polsku 419, a po rosyjsku 149, na ogólną lndność 60,133 i 21 szkół. W powiecie lubartowskim w roku 1894 umiało czytać po rosyjsku 39, po polsku 56. Ogólna ludność wynosi 40,881, szkół jest 26. Czy to możliwe, aby istniały w lubelskiem powiaty, w których nikt po polsku czytać nie umie, lub też, aby na jedną szkołę wypadało pół osoby, umiejącej czytać? Cyfry te widocznie tendencyjnie sfabrykowane.

Nowy środek leczniczy odkrył prof. dr. Marmorek pod nazwą „antistreptococciny“. Odkrył on, pracując w instytucie Pasteura, bakcylusa, który się sroży przy septycznych (zakaźnych) gorączkach i wywołuje zatrucie krwi, mianowicie przy wielkich ranach, róży, po połogu, przy dysenterji krwawej. Nazywa się „streptococcus pyogenes“. Marmorek dochował się już kilku jego pokoleń, a zarazem sporządził truciznę przeciw niemu tak silną, że jedna dziesięćmiljardowa cząstka kubicznego centymetra zabija królika. Ten sam bakcylus odgrywa wybitną rolę także przy dyfterycznych chorobach wraz z bakcylusem Loefflera, a wtedy, gdy on się przyłączy, już surowica Behringa nie skutkuje. W szpitalach paryzkich środek ten stosował dr. Chantemesse z doskonałym skutkiem przeciw gorączce połogowej. Z przeszłości dr. Marmorka nadmienić wypada, że skończył wydział lekarski w Wiednin, był asystentem prof. Chrobaka, a następnie prof. Pozzi'ego. W ostatnim czasie pracował w instytucie Pasteura.

Zmarli:

Dr Alfred Klingenberg, jeden z redaktorów N. Fr. Presse i autor czterech dramatów; zmarł przed kilku dniami.

Marcin Gerss, pisarz i wydawca w gwarze mazursko-polskiej, zm. 28. marca w Lece na Mazurach. (Patrz Przegląd prasy polskiej).

Dawid Lugeon, rzeźbiarz szwajcarski, zmarł w Lozannie w końcu marca.

BIBLIOGRAFIA.

Jokey Maurycy, Brzydkie panny. Powieść współczesna. Przełożona z oryginału węgierskiego przez B. J. Cena 0,75 mr.

Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży. Wydany z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia dr. Józefa Mianowskiego. Cena 1,50 mr.

Korczyński dr Ludomir. Choroba Basedowa. Rozprawy z zakresu medycyny praktycznej. Ser. II, zeszyt 19. Kraków. Cena 1,20 mr

Lombroso C. i G. Ferrero. Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka. Studya antropologiczne, poprzedzone biologią i psychologią kobiety normalnej. Z upoważnienia autorów tłomaczył dr J. Szenhak. Dzieło opatrzone rysunkami. Zeszyt II. Cena 1,00 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Exul. Utwory nadesłane są znacznie lepsze od poprzednich. Mianowicie w wierszykach „Walec“ i „Zazdrość“ przebija się umiejętność obrazowania i nerw dramatyczny. Poezyom jednak brak artystycznego wykończenia. Przygrywka w wierszyku „Walec“ wywiera miejscami wrażenie sztuczności i wysilonego rymowania.

Witold. W Berlinie mamy 14 abonentów. Ilu wśród nich jest akademików, trudno nam odgadnąć, ponieważ większość abonuje „Przegląd“ na poczcie. — „Towarzystwo naukowe“ otrzymuje jeden egzemplarz.

Niezapominajka z Wrzesińskiego. 1) Pod literami B. Ch. 2) W bieżącym sezonie „Zwyciężony“ nie ukaże się już na poznańskiej scenie. Sezon kończy się 1. maja.

Endymion. Gorzkich skarg Pańskich zamieścić nie możemy. Zapewniamy jednak na pocieszenie, że im silniej kobieta nienawidzi, tem bliższą jest kochania.

Perełka. Nowelka nadesłana jest pod względem stylu poprawna. Rysunek charakterów jednak zupełnie chybiony. Umysłowa wyższość bohaterki, o której pani nieomal na każdej stronnicy wspominasz, nie budzi zaufania i potwierdza chyba fakt, że urok kobiecego rozumu opiera się niejednokrotnie na rażącej płytkości — męża. Działa tu prawo kontrastu.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.